

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spół. kwart. 5 marek.

Gospodarka domowa.



III.

Uproszczenie warunków bytu.

Bardzo jest łatwo do komfortu nawyknąć, a nawyknienie to „druga natura,” lecz wszyscy rozumiemy, że ani wysiłków pracy, ani widoków przyszłości, zabezpieczonej do pewnego stopnia, tem mniej zaś imienia uczonego poświęcać mu nie wolno.

Rozumiemy to — więc trzeba nam jeszcze wiedzieć, że przy uposażeniu średnim są tylko te dwie drogi: albo — albo.

Na chleb wystarcza, na komfort brakuje; co gorzej, niedobór roku bieżącego w następnym zwykle się podwaja — i tak dalej, dalej, aż do smutnego kresu.

Ginać dla idei, poświęcić przyszłość własną i rodziny dla celów szlachetnych — to godne istoty myślącej, lecz ginać dla komfortu jest czemś tak komicznie lichem, nędznym, płaskim, że niemal hańbi.

Chcąc wyjść z błędnego koła szarpaniny bezcelowej, należy warunki bytu uprościć. Mniej wymagań, żadnych zbytków, żadnych sztucznych potrzeb! to powinno być hasłem gospodarki gruntownie obmyślanej i obliczonej ściśle, by funkcjonowała prawidłowo. Należy zmniejszyć wydatek: na mieszkanie, na służbę, tak zwane drobiazgi, — i na ubranie.

Lokal w stosunku do dochodów kosztuje nas za dużo, ponieważ jednak właściciele domów nie obniżają cen, owszem corocznie je podnoszą, zrobimy to sami za pomocą zmniejszenia lokalu.

Zwijamy salonik. (Dobrą kombinację stanowi trzymanie pokojów, jak: sala, stołowy,

a także łazienek wspólnych dla dwu lub więcej rodzin, co oszczędza kosztów służby, opalu i światła. Wiele osób twierdzi, że to krępujące i niewygodne, ale niech nam ci państwo powiedzą, czy wygodnem jest i niekrępującem, gdy gospodarz się upomina, sługi szemrzą, pokoje źle ogrzane niszczy wilgoć?... Do spółki zrobi się to wszystko bez kłopotu, a małe ustępstwa, jakie przytem są potrzebne, stanowią niejako czynnik kulturalny).

Kuchnię zamieniamy na pokój.

Służącą wydalamy.

Niema kuchni, niema sługi — gdzież więc i kto gotować będzie, kto w mieszkaniu utrzyma porządek?

Według programu naszego, śniadanie i kolację przyrządzimy na maszynie, obiad zaś dadzą nam gospodynie jeszcze mniej zamowne, które pracą w kuchni pomagają sobie do związania końca z końcem. Gdy doliczymy wydatek na sługę, obiad nie jest wart zachodu; co innego, gdy gosposia sama go przyrządzi, o ile zdatna jest i zręczna. W przeciwnym razie wypadnie jeszcze gorzej.

A pranie?

Powinniśmy zerwać z tradycją prania w kuchni, zwłaszcza, że większość kuchen niema rozmiarów odpowiednich. Gdy wszyscy lokatorzy stanowczo zażądatają, właściciel domu wyznaczy w suterrenach parę izb na pralnie, roboty zaś dopilnuje osoba uzdolniona za skromną zapłatę. Tu otwiera się pole do nowych specjalności pracy kobiecej: jedną stanowi taki właśnie nadzór, drugą prowadzenie małych pralni domowych, po za pralniami dużemi, które każą sobie drogo płacić i niszczą bieliznę. Pralnie domowe mogłyby pobierać stałą pensję miesięczną, zależnie od liczby osób.

Mankiety, chusteczki, kołnierzyki, panienska upierze sama na misce, wygotuje na maszynie i uprasuje, grzejąc dusze w piecu. Podej-

mujemy się nauczyć tej sztuki każdą osobę chętną. Dla przyszłej gosposi to wygoda nawet w dobrobycie, zwłaszcza na prowincyi, gdzie trudno o prasowaczkę.

A z dziećmi małemi, jak dom poprowadzić?

Tu już jedna służąca się przyda, ale bezwarunkowo tylko dobrze uzdolniona. Rubel, dwa na miesiąc różnicy nie zrobią, owszem, opłacą się bez żadnej wątpliwości. Opieka nad dziećmi należy do matki — dla wyręczenia jej, na godziny, pół dnia i t. p. freblanki dużo więcej są przydatne, niż Kasie i Marysie od których mały głupstw się uczą. Tu mogą znaleźć zatrudnienie te młode osobki, które, jak gdyby stworzone na przyszłe mateczki, od lat najwcześniejszych za dzieciarnią przepadają.

Oszczędność na wydatkach drobnych, względnie mała, należy do tych ziarenek, z których powstaje miarka. Tu bilet tramwajowy, tu doróżka, tam „pocztówka,” wysłana dlatego tylko, że na niej był obrazek: siesta w kawiarni modnej... Należy powiedzieć sobie: Nie wolno mi, odzieram przyszłość swoją z tego, co dla niej usłaćbym mogła przy pilności i rachunku, niszczyć, co gromadzić winnam!

Każdy grosz wydany bezpotrzebnie, jest krzywdą społeczną.

Co się tycze ubrania, rodziny średnio uposażone, na ten wydatek nie mają funduszu; stać je ledwo na odzież. Między odzieżą a ubraniami jest wielka różnica — kto ją uwzględni, idzie drogą właściwą, kto zaś skąpi na mięso, jajko, mleko, cukier, by pióra strojne kupić, temu trzeba odebrać kasę.

Oto naszkicowany zlekka projekt gospodarki prawidłowej, szkielec, który należy ubrać w ciało, uzupełnić w wielu punktach i zmienić w niejednym, stosownie do potrzeb i okoliczności. Ale gdzież wykonawczynię? gdi

pomocnicze matek, te właśnie, o które najbardziej nam idzie, bo w nich jest przyszłość. Rozbiegły się po warsztatach pracy, nie widząc, lub — niestety — lekceważąc tę, jaka dla nich była w domu; trzeba je dopiero teraz uczyć, od abecadła począwszy.

Że uczyć warto, wykażą rezultaty, a między innymi rumieńce zdrowia, wykwitłe na twarzyczkach, dziś bladych od pracy przy biurku, w ciasnym, zapchanym sklepie lub kantorze. Paniątka domowa dostaje na „początek“ pensję i koszt utrzymania Marysi, czyli dwieście rubli z górą, a jaka przytem wolna jest, jaki to zajęcie dało jej apetyt — jak zmężniała, rozrosła się i wypiękniała!... Powiemy otwarcie: stała się materyałem na kobiety szczęśliwą.

Gromadźmy takiego materyału dużo, i ta, co się jeszcze uczy, niech z programu nauk wykresli raczej dziesięć innych, niż ten jeden przedmiot, niech znajdzie chwilkę czasu, by przy matce popracować; im rozumniejsza, tem więcej wytrwała, tem dzielniejsza na pewno.

Skrzętna, silna, bo zajęcia domowe rozwinęły i wygimnastykowały ją do wielu trudów, przyszła gospośnia, gdy pokocha, nie szepnie wybranemu w ekstazie miłości:

— Ile pokoi mieć będziemy? ile sług?

Ona i w jednym szczęście dla obojga wyhoduje, bo sama będzie szczęściem.

S.



POGAWĘDKA.



IV.

Pan Zagłoba w Warszawie.

(Dokończenie).

Znów wsunąłem Rzędzianowi
Na ów miodek skromne „złotko“,
I za chwilę imć Zagłoba
Zacny trunek spijał słodko,
Który snadno krwi szlacheckiej
Likworowej dodał cieczy,
Bo już czolo się nie marszczy,
Ani gęba nie zlorzeczy,
Jeno uśmiech arcy-płochy
W ust się kątach chytrze chowa,
Zkąd też ku mnie, miasto gniewnych,
Jak miód słodkie, płyną słowa.

— „Śliczną była — mówię waści —
Krasnolica, jasnowłosa!
W oczach miała dwa modraki,
Kibić ciekłą, niby osa.
A choć w szatkach niebogaty
Była ona Warszawianka,
Wyglądała — niech przepadną! —
Jak królewna lub niebianka!...

Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Treść wszystkich depeš była mniej więcej jednobrzmiącą; wszystkie zawierały życzenia szczęścia i pomyślności dla młodej a dobranej pary, różniąc się tylko w ilości słów i stylizacji okolicznościowych frazesów.

Otwierał telegramy i już nie czytał powinszowań, tylko rzucił okiem na podpisy, ażeby się prędzej uporać z tym przeglądem, którym chciał zapełnić czas, pozostawiony żonie do zdjęcia z siebie ślubnej sukni.

Machinalnie wziął do ręki paczkę listów i z charakteru pisma na adresie starał się rozpoznać życliwe mu osoby; odczytywanie treści pozostawiał do jutra, gdy z swoją Misią zasiądzie do pierwszego śniadania przy wspólnym stole.

Niekiedy przymykał oczy, wyciągał się na fotelu i mówił sobie w myślach:

— Jestem żonaty! — a wtedy jakiś dziwny dreszcz przebiegał mu po wszystkich członkach i krew gorętszym warem przepływała po żyłach.

Pulsa biły mu w skroniach, na piersiach czuł niby tłok, który je chwilami przygniał; oddychał głęboko i twarz spryskiwał kolońską wodą dla orzeźwienia.

Zegar ścienny wydzwonił w pół do trzeciej.

Taniecki wstał i odkładając resztę listów, mimowoli zatrzymał jeden w ręce.

Spojrzał na adres, — pismo było mu nieznane.

Na kopercie odbity był stempel wagonu pocztowego.

— Od kogo to być może? — przemknęło mu po głowie.

Nie mógł sobie przypomnieć, kto mógł mieć taki okrągły, cienki, stojący, niesympatyczny charakter pisma.

Spieszno mu było odejść, ale machinalnie rozerwał kopertę i wiedziony ciekawością, zaglądnął do otwartego listu.

Na podpisie wyczytał tylko jeden wyraz: „Życzliwa.“

Przechylił głowę, wydał wargi i niechętnie szepnął:

— Anonym! — a zwracając się do służącego, rzekł:

— Dowiedz się, czy panna Małgorzata wróciła już od pani!

Potem zbliżył się do lampy i zaczął czytać.

List zawierał tylko kilka wierszy, pisanych jakby ostrą szpilką; zaczynał się od nagłówka: „Szczęśliwy nowożeńcze!“

Taniecki przebiegł okiem szybko treść listu i krzyknął, jak gdyby go nożem zniecka ugodzono w samo serce; instynktownie zacisnął pięść i zmiał w niej nieczemny anonim, którego każde słowo było dlań ukłuciem żmii.

Przez chwilę zaszumiło mu w głowie i zawirowało tak gwałtownie, iż musiał się oprzeć o fotel, aby nie runąć na posadzkę. Ręce mu drżały, jak w febrze, a w oczach migotały krwawe płomyki; zanim się opanował i zdołał myśli zebrać, minęła chwila długa, jak wieczność.

Stał ze wzrokiem osłupiałym, niemy, nieprzytomny i dyszał ciężko.

Wiesz zapewne, mój skrybencie,
Że na wszelkie babskie krasy,
Jako zasie kot na sperkę,
Zawsze byłem chciw i łasy,
A raz, gdy mi wigor młody
Krew zanadto rozgrzał żarem,
Z Longinusem Podbipiętą
Zdobyliśmy cały harem...
Owóż tedy wnet mnie w jassy
Wzięła ona Warszawianka,
Że przylgnąłem do niej sercem,
Jak do kuffa, abo dzbanka
I podałem łysą głowę
W lube sidła tej niewieście —
I tak razem przez dzień cały
Wędrowaliśmy po mieście;
A gdy wieczór z za rogatki
Powracamy przez Aleje,
Najwdzięczniejsza ta z dzierlatek
Tak prawila swoje dzieje:

— „Jestem — mówi — szwaczka biedna
W srogiem jarzmie przez dzień cały —
Umiem szatki szyć bogate,
By się panie podobały.
Od poranka do wieczora,
Lub gdy północ nieraz bije,
Pochylona nad robotą
Ciągłe szyję, szyję, szyję...

Czasem zła chlebobawczyni
Kar nastrąca za byle co,
Lub przezwiska i wymysły
Na kark biedny gradem zleca;
Czasem panie-grymaśnice
Obelżywe rzuca słowo...
Za to wszystko mam zapłatę
Po trzy ruble — tygodniowo...

Jak żyć za to, jak się odziać,
Postem głodu, jak nie pościć?
Jak strojnisiom i niecotom
Łatwej doli nie zazdrościć?
Jak się rządzić, by na wszystko
Ów zarobek starczył kusy?
Jak odeprzeć złe namowy?
Jak odrzucić złe pokusy?
Jak w wychudłej znaleźć piersi
Do wytrwania dosyć siły —
Gdy zaprosi na libacyę
Staruszczyk taki miły?“

Tak prawila — słyszysz Wasze?
„Staruszczyk miły“ — przytem
W tej oberży za rogatką
Jadła z wielkim apetytem,
Powtarzając, gdy podano
Kawior, wino i ostrugi,
Że nadzwyczaj lubi szlachtę,
Co przyjeżdża — na wycigi...

Zdawało się, że lada chwila zwali się bez zmysłów i runie, jak pień, gromem strzaskany.

Zaciskał w ręce zmięty świstek papieru i drżał.

Ogłuszyła go podłość ludzka i cios zadany z takim wyrefinowanym okrucieństwem, z takim rozmysłem nikczemnym, ale przewidującym skutek i wrażenie, jakie wywołać musi wiadomość, udzielona „z życzliwości“ w dzień ślubu szczęśliwemu nowożeńcowi o ukochanej na śmierć i życie oblubienicy.

Skrytobójczyni pod maską anonimnego godziła w spokój i szczęście dwojga istot, którym chciała zburzyć jeżeli nie całą przyszłość wymarzoną, to przynajmniej ten najświętszy i najuroczystszy dzień, rozpoczynający każde małżeństwo.

Taniecki przetarł oczy i jakby własnym zmysłem nie dowierzał, rozwinął zmięty powtórnie list, aby go uważniej po raz drugi przeczytać, ale drgnął nagle i instynktownie ukrył go w kieszeni, gdy usłyszał skrzypnięcie klamki i głos służącego, który w otwartych drzwiach stanął z wiadomością, że panna Małgorzata powróciła już do swego pokoju i pomogła jaśnie pani rozebrać się w sypialni.

— Dobrze, możesz odejść! — powiedział lokajowi, nie odwracając się, jakby z obawy, aby z jego zmienionej twarzy nie wyczytał tajemnicy, która gryzła mu duszę.

Służący uklonił się i wyszedł.

Henryk postawił lampę na stoliku, przysunął fotel i usiadł; starał się ochłoniąć ze wzburzenia i wrócić do równowagi, aby spokojniej wyjąć zatruty pocisk z rany.

List szeleścił w jego rękach, jak podrażniony gad, kiedy go rozwijał i wyglądał,

aby jeszcze raz przebiec okiem to pismo, z samego wyglądu tak niesympatyczne i kołące swoim szpiczastym charakterem, nie tylko swoją wstrętną treścią.

— „Szczęśliwy nowożeńcze!... — czytał, — wróciłeś od jednego ołtarza, aby przystąpić do drugiego, na którym spodziewasz się znaleźć ubóztwiony Swój ideał, dla którego wzgardziłeś tyłoma innymi sercami i wdziękami.

Spotka Cię zawód, dla człowieka honoru najboleśniejszy, bo sromotny...

Miłość zaślepiła Ci oczy tak, że nie dostrzegłeś szczęśliwszego rywala, którego i nieobecności na własnym weselu może nawet nie zauważyłeś.

Spytaj zatem Swej żony, zanim z jej skroni zdejmiesz mirtowy wianuszek, czy przeboleła już czule pożegnanie z pięknym kuzynkiem?...

A potem staraj się być zadowolonym, przynajmniej dla świata, bo Tanieckiemu nie wypada stroić się marnym szychem zamiast szczerego złota.

Nie dosyć być kochanym, trzeba mieć pewność, że się posiada miłość... niepodzielną.

„Życzliwa.“

Ostatnie słowa migły mu w oczach, jak palące iskry; zamykał powieki i otwierał, bo jakaś gorąca, rdzawa mgła przysłaniała mu źrenice.

Trzymał w rękach anonim, spuścił głowę na piersi i z zaciętymi zębami, aby nie krzyknąć z bólu, siedział i rozmyślał.

— Przecież to niesłychana, potworna podłość! — mówił sobie. — Wybrać taką chwilę, aby mi zatruć serce, spokój, rozkosz pierwszej nocy poślubnej!... rzucić taki cień pomiędzy dwoje ludzi, którzy na całe życie

nałżeć mają do siebie!... I ta niegodziwa jakaś dusza przypuszczała, że ja temu uwierzę?!...

Wzdrygnął się i rzucił na fotelu, że się aż z nim razem od stolika odepchnął.

Chciał powstać, ale mu nogi odmówiły posłuszeństwa, ocieślał i czuł tylko, że go ogarnia bezwładność taka, jak gdyby połowę ciała miał sparaliżowaną:

— „Spotka cię zawód, dla człowieka honoru najboleśniejszy, bo sromotny!...“

Co to miało znaczyć?... co się mogło ukrywać tajemniczego pod temi wyrazami, których zagadkę zostawiano jego domysłności?

Ten nikczemny list mówił niby tak dużo, a nie określał niczego wyraźnie, nie przytaczał żadnych faktów, dawał tylko jedną, jedyną delatorską wskazówkę, wspominając o „pięknym kuzynku.“

O którym?...

Mimowoli zaczął się zastanawiać nad tem, choć ze wstrętem i obrzydzeniem odpychał wszystkie podejrzliwe myśli, jakie mu anonim miał na celu podsunąć.

Uczciwa jego natura nie chciała się poddać ani na chwilę wpływowi tej szatańsko pomysłanej intrygi.

Kochał i wierzył, ale mimo to pod tym podwójnym pancierzem miłości i wiary, zadrdzało mu serce.

Czy podobna, aby choć jedno słowo prawdy było w tej ohydnej potwarzy?... choćby ślad prawdopodobieństwa?

— „Nie dosyć być kochanym, trzeba mieć pewność, że się posiada miłość niepodzielną.“

Ależ on ją posiadał, on tę pewność miał, on przecież tak niedawno tuląc w objęciach swoją Misie, mówił jej o tem, że wierzy, iż

Powiedziała jeszcze więcej,
Jako w grodzie tym się miesci
Do wspierania kobiet pracy
Jakiś niby klub niewieści,
Gdzie wciąż radzą białogłowy,
O jakowychś nowych szlakach,
Bardzo dużo o — zasadach,
Za to mało o — biedakach,
A już wcale o tym celu,
Żeby one szare rzesze
Miały jaki kąć godziwy
Ku rozrywce i ucieszce...

Aż gdy w końcu powiedziała,
Że w Warszawie waszej złotej
Dzisiaj setki takich szwaczek
Bez nijakiej są roboty.....
Że głód grozi tym biedaczkom,
Lub zdobyty chleb w ohydzie —
I że nikt, nikt tu nie myśli
Jak zaradzić onej biedzie —
To mnie taki gniew ogarnął
Na to bratnie okrucieństwo,
Żebym wyzwał i posiekał
Całe wasze społeczeństwo,
Gdzie nadobne tak bestyjki
Przymierają sobie z głodu —
A wy na to ani mru-mru,
Gryzipiórki!... Rzędzian — miodu!“

Znów dzban miodu, znów potężny
Łyk, wstrząśnienie, sap, jak z miecha,
I oblicze zagniewane
Już łagodnie się uśmiecha.

Więc wtrąciłem: „O rycerzu!
Słowa twoje iście śliczne!
Lecz cóż zrobić? Gdy dziś tego
Prawo chce ekonomiczne,
Które mówi, że gdy wojna,
Kłęski, nędze i kryzysy,
Nadmiar dłoni, trza poprostu
Poodganiać precz od misy...“

Aż spąsował Imé Zagłoba;
— „Panie, nie skąp srogich gromów!
Ci szachraje wynaleźli
Jakieś prawo — ekonomów!
Mój skrybencie, wiedz-że o tem
I w gazecie wsadź do łamów,
Że ekonom — to nie szlachcic,
Jeno zwykle jest cham z chamów!
Niech się rządzi chamskim prawem,
Nielitosnem i zbójcekiem,
A świat winien po staremu
Na tem prawie stać szlacheckiem,
Co nad mądrość spekulacji,
Głupstwo serca czasem woli:
Pociesz tego, co strapiony,
Wspomóż tego, co w niedoli!...“

Samolubstwem nie brudź duszy,
I lecz bratnich serc frasunki,
Czcij i kochaj białogłowy
I pij tylko — dobre trunki!...“

To wyrzekłszy — znów do dzbana,
Łyknał głębiej, snać do spodu...
Chciałem mu coś odpowiedzieć,
Lecz zmroczyło go od miodu,
Bo się zachwiał, siadł na łożu,
Jął bełkotać niewyraźnie:
„Dzierłateczka... Warszawianka...
Lura... hańba... miodu... błażnie...
Ród kramarzy... chamskie dusze...
Pludry... żydy... i skrybenty...“
Wreszcie umilkł i po chwili
Chrapał — jak najęty...

— „Gdym odchodził — Imé Pan Rzędzian,
Czuając w dłoni nowe „złotko“,
Wyprowadził mnie na schody
I pożegnał nader słodko.
— A niech Waszmość — rzekł na końcu —
Żle Zagłoby nie wspomina,
Ongi mądry był statysta —
Dziś — dzieciinnia! — pocziwina...“

Artur Gliszczyński.



est jej pierwszą miłością, a ona temu nawet skinieniem głowy nie zaprzeczyła.

Przecieżby go nie chciała, nie śmiała okłamywać w takiej chwili?...

— Nie, nie, nie! — powtarzał sobie, broniąc się całą siłą przed podejrzliwością, która podpełzywała do jego umysłu, chociaż ją uczucie odpychało ze wzgardą, z tym instynktem zachowawczym serca, pragnącego uniknąć ciosu, któryby mógł je zgruchotać.

A jednak mimowoli odsłaniał to serce przed żądlem jadowitej żmii, która próbowała dosięgnąć je koniecznie i ukłuć, i oplwać swą śliną, i zatruć śmiertelnie.

Zaczął rozważać.

Nie chciał bronić przez samym sobą tej czystej, dobrej, ukochanej istoty, która tam za ścianą czekała jego przybycia i drżała z dziewiczym rumieńcem na licach, jak ofiara dobrowolna miłości i uświęconego związku małżeńskiego, — nie chciał uniewinniać jej przed „życziwą“ potwarczynią, stojącą mu w oczach, niby zamaskowane widmo, na które splunąć tylko potrzebował, aby znikło; pragnął sam z sobą dojść do ładu, upewnić się, umocnić we własnym przekonaniu i zdeptać tego gada, który się śmiał wśliznąć pod jego nogi.

Więc jak to było?... była wiosna, wonna od bzów, fijołków i konwalii, kiedy w powrocie z Nizy spotkał po raz pierwszy w pociągu, wiozącym ich na północ, Dobrojewską z córką; jechały na Berlin do Warszawy.

Wziął je wtedy za cudzoziemki, bo rozmawiały z sobą po francuzku.

Podał pannie bukiet, który się ztoczył na ziemię ze stolika w wagonie pierwszej klasy i usłyszał polskie słowo: „dziękuję“, które się z jej ust instynktownie wymknęło; po tem poznał, że są jego rodaczkami, i to go ośmieliło do zawiązania rozmowy.

Przyznała się, że go wzięła z pierwszego wejrzenia za Włocha; uśmiełi się z tej wzajemnej pomyłki i przez całą drogę usta im się nie zamykały.

Bukietem świeżych kwiatów chłodziła sobie policzki, gdy o południu słońce dopiekać zaczęło i w wagonie zaczęło być duszno: to mu podsunęło myśl powiedzenia jej:

— Szczęśliwe kwiaty!... zwiędną, ale z rozkoszy.

Zciągnęła brwi, odwróciła głowę i udała, że nie słyszy tego zbyt śmiałego komplimentu ze strony przypadkowego towarzysza podróży.

Za to matka stała się dla niego jeszcze bardziej uprzejmą i zanim dojechała do Berlina, zdążyła opowiedzieć mu mnóstwo rzeczy o sobie i swojej Misi ze swobodną gadatliwością czeczotki, przyzwyczajonej do łatwej konwersacji salonowej.

Dowiedział się od niej, że jest wdową od lat dziesięciu, że posiada dużą majątność na Kujawach, że stale mieszka w Warszawie, prowadzi dom otwarty i ma liczne stosunki w towarzystwie, że co roku spędza wiosnę na południu, a zimą, jak się zdarzy.

Okazało się, że mają wielu wspólnych znajomych i to do poufniejszej nastroiło ich pogawędkę.

W drodze znalazł sposobność oddania im kilku drobnych przysług, w Berlinie spędził z nimi całe trzy dni, a przy rozstaniu w Warszawie otrzymał zaproszenie:

— Może pan nas zechce kiedy odwiedzić!... Przyjmujemy co czwartek między piątą a siódmą.

Uczył to z grzeczności i obowiązku człowieka dobrze wychowanego, złożył wizytę w najbliższy czwartek i od tej pory bywał coraz częściej.

Tak się zaczęła ich znajomość.

A potem szło to w przyspieszonym tempie. Im bliżej poznawał pannę, tem więcej mu się podobała, tem bardziej był nią zajęty, tem silniej pociągał go do niej nieprzeparty urok, któremu oprzeć się nie mógł.

Aż pewnego wieczoru, wracając z koncertu w Dolinie Szwajcarskiej, oświadczył się jej i wyznał swą miłość. Zdawało mu się, że był do tego uprawniony, bo z zachowania się jej, z długich rozmów, prowadzonych niemal codziennie, z mnóstwa tych drobnych, subtelnych, nieznaczących na pozór objawów wywnioskował, że nie był jej obojętnym, że oboje są sobą zajęci i że potrzeba tylko tego jednego słowa: „kocham“, które jak na zaklęcie otworzy ich serca i w jednej chwili złączy je z sobą na wieki.

Po tygodniu byli już zaręczeni.

Dzień ślubu był naznaczony, w kilku magazynach jednocześnie przygotowywano wyprawę dla pośpiechu.

Dobrojewska urządziła kilka dużych wieczorów, wydała parę wystawnych obiadów u siebie na uczerzenie zaręczonej pary, oddała wizytę Tanieckiej na wsi w jej Miłoszkowicach i nawzajem przyjęła ją wraz z synem, z wielką paradą w swoich Dzielnikach; stosunki się zacieśniały, młodzi byli zakochani i szczęśliwi.

Tylko gdy się zbliżał termin postanowiony ślubu, Misa stawała się coraz smutniejszą, coraz bledszą, zamyśloną, chwilami dziwnie rozdrażnioną i niespokojną.

Matka pytała ją:

— Co ci jest?...

Odpowiadała krótko:

— Nie wiem.

— Czujesz się źle?

— Nie wiem.

— Jakże można nie wiedzieć o tem?

— Nie wiem.

— Przecież kochasz Henryka?

— Kocham.

— A zatem?...

— Pójdę za niego, albo za nikogo, mamo, ale nie naglijcie tak na mnie, nie spieszcie!... pozostawcie mi jeszcze trochę czasu.

— Jesteś dziwaczka. Małżeństwo nie ser, żeby je odkładać!... dałaś mu słowo, wszystko gotowe, wyprawa uszyta, po co odkładać?... Doprawdy, nie rozumiem cię!

Dąsała się z minką rozkapryszonej dziewczynki i buntowała po cichu przyszłego zięcia, aby od swoich praw nie odstępował.

— Macie się pobrać, — mówiła, — to się pobierzcie. Nie uważaj pan na panięskie fochy Missetki!... Ja w trzy tygodnie byłam gotową i zdecydowaną; nie mogłam się doczekać wesela, a miałam dopiero siedmna-

ście lat, gdy wychodziłam za męża. Co tu się długo namyślać!... prawda?

Przyznawał jej słusność, ale nie nalegał; chciał uszanować wolę narzeczonej i nie wywierał zbytniego nacisku na jej postanowienia.

Wówczas mu się to wydawało całkiem naturalne, dzisiaj zaczęło go to zastanawiać po owym fatalnym liście.

Przypominał sobie, że pod koniec swego narzeczeństwa z tygodnia na tydzień musiał się godzić na zwłokę ślubu, której przyczyn nigdy dokładnie dowiedzieć się nie mógł.

Niekiedy, wydawało mu się, jakgdyby to zagadkowe wahanie Misi ukrywało jakąś niedocieczoną tajemnicę, która dlań tembardziej niepojętą była, że nie miał najmniejszego powodu wątpić o jej wzajemności.

Z tem wszystkim widział, że mu się mieni w oczach, że w jej zamkniętej, skrytej naturze dzieje się coś, czego wyznać przed nim, ani przed matką nie może lub nie chce.

Zapytywał dyskretnie, próbował wybadać, ale zamiast odpowiedzi otrzymywał jakiś smutny, melancholijny uśmiech, z którym mówiła:

— Proszę na to nie zważać!... to nic; to przecież panięskie fochy tylko, jak powiada mama. Nie ma się nad czem zastanawiać.

Oczy jej dopowiadały przytem:

— Kocham cię!... wiesz o tem, więc niech ci to wystarczy.

Ale anonim syczał ironicznie:

— „Miłość zaślepiała cię tak, że nie dostrzegłeś szczęśliwszego rywala, którego i nieobecności na własnym weselu może nawet nie zauważyłeś“...

Kto mógł być tym rywalem szczęśliwszym?...

Przypominał sobie wszystkich mężczyzn, których spotykał w domu swej przyszłej teściowej i żadnego z nich nawet posądzić nie mógł, aby od chwili gdy się oświadczył, zabiegał o poważniejsze względy Misi.

Widział przecież, że wszystkich odsuwała od siebie umyślnie, unikając nawet pozoru, że przekłada kogokolwiek nad niego.

List wspominał o pięknym kuzynku; wskazywał go wyraźnie, i rzucał na niego haniebne posądzenie, poparte tym jedynym szczegółem, zgodnym z rzeczywistością, że nie był obecnym na weselu.

— Julek?!... Julek Dobrojewski?...

Załamiał ręce i splecione kureczowo założył sobie na głowę:

— Nie, to niepodobna!... z nim była tak samo, jak z wszystkimi innymi. Julek?... miał się przecież sam żenić, był zakochany, wyjeżdżał tak często, traktował ją nawet obojętnie i nigdy nie okazywał, aby był nią więcej zajęty, niż którąkolwiek z panien w salonie. Potwarz!... tylko potwarz!...

Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju z głową zwieszoną; za ścianą w ciszy nocnej zegar wydzwonił trzecią nad ranem.

— A jednak... jednak, gdyby w tem było cokolwiek prawdy?

Drgnął na samą myśl tak straszną i stanął w miejscu nagle, jakby mu nogi w ziemię wrosły.

Stał i rozważał.

Potem podszedł do stolika, wziął list, przypatrywał mu się badawczo czas jakiś i otworzywszy skrytą szufladkę, wsunął go na sam spód pod inne papiery.

Z wnętrza szuflady błysnęła lufa rewolweru.

Zimny dreszcz wstrząsnął nim; wziął rewolwer do ręki i zbladł.

W magazynie tkwił jeden tylko ostatni nabój.

Położył broń na stoliczku nocnym, nakrył go chustką i powolnym, ociężałym krokiem skierował się ku drzwiom.

Jakieś straszne, rozpaczliwe postanowienie odbiło się w jego oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rozstanie.



Już uderzyła godzina rozstania...

Czemu ja ciebie na ziemi poznałem,
Czemu ci miłość swą płomienną dałem,
Która ma duszę dzisiaj rozwulkania?!

Z pomroków śmierć się blade wyotechłania,
Serce me kipi niepojętym szałem,
Całą swą istność rozognioną wlałem
W ten niezgłębiony tragizm pożegnania!

— Podaj mi usta!... Chcę je ucałować,
Pragnę z nich wszystek miód wysączyć złoty.
Wszystkie porywy, pragnienia, tęsknoty...

Bo dziś samotny muszę powędrować,
Śmierć mnie porywa w zimne swe opłoty...
— Daj mi swe usta jeszcze ucałować!

Zygmunt Różycki.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Jeden z pierwszych przykładów takiej wpływowej kobiety przedstawia królowa Tanaquil, żona Tarkwiniusza starszego. Córka znakomitego etruskiego rodu, zaślubiona synowi bogatego kupca z Koryntu, osiadłego w Italii, rodową swą dumą podsycala dumę osobistą dorobkowicza, który tak wyjątkowymi zdolnościami, jako też po części grecką przebiegłością, zdołał osiągnąć aż królewskiej godności i stał się jednym z tych wsławionych parweniuszów, jacy za wyniesienie swe umięją się odwdziżyć społeczeństwu. On to zaszczylił w Rzymie kunsztu, łącząc hellenickie piękno z rzymską trwałą mocą i wielkością rozmiarów, z czego powstały owe wspaniałe, a szczęką czasu niezżarte dzieła architektury i inżynierii rzymskiej, owe kanały, wodociągi, cyrki i warownie. On ubrał rzym-

ską, nagą jeszcze surowość w nadobne szaty greckiej estetyki, a wykwintny smak kobiecy był mu w tem z pewnością cennym pomocnikiem.

Była też Tanaquil biegłą w okultyzmie, bo za pomocą wieszczbiarskich swych wiadomości, odgadłszy przeznaczenie syna swojej niewolnicy, wychowała go sobie na zięcia, Rzymowi na znakomitego monarchę—Serwiusza Tulliusza. Jej też przytomności umysłu i przebiegłej energii król ten tron zawdzięczał, bo po zamordowaniu Tarkwiniusza Staroego przez stronników wydziedziczonej przez dynastii, królowa ukryła śmierć jego przed ludem, nakazała, w imieniu niby tylko chorego małżonka, posłuszeństwo zastępującemu go zięciowi, i tak umiała dyplomatycznym tym fortelem zasuggestyjonować burzące się tłumy, że zręczny i dzielny Serwiusz po utorowanej przez teściową drodze zdołał osiągnąć korony.

W jaskrawym kontraście do tej dodatnio na mężczyznę wpływającej kobiety, stoi niekczemny wpływ wywierająca na ostatniego Tarkwiniusza, żona jego Tullia. Pyszna i przewrotna kobieta podżega męża najpierw do zbrodni, dla dogodzenia namiętności, później do zdrady, dla celów politycznych, staje się ukrytą sprężyną zamordowania własnego ojca, Serwiusza Tulliusza, a pamięć jej oplwaną zostaje przez podanie dziejowe szczegółem nieprawdopodobnym w swej ohydzie, jakoby pędząc na rydwanie do przeprowadzającego w Kuryi zamach stanu męża, leżące w poprzek ulicy krwawe zwłoki ojcowskie kołmi stratowała.

Okres monarchizmu w Rzymie zamyka krwawą pieczęcią bohaterska śmierć kobiety. Doba swobód republikańskich szlachetnie się rozpoczyna od pomsty za krzywdę kobiecą.

W roku 510-ym przed erą chrześcijańską, a 245-ym od założenia Rzymu, niewiasta rzymska jeszcze własnoręcznie przędła len i wełnę — i jeszcze była cnotliwą. W owym czasie lud rzymski, dumny i do wolności nawykły, żuł niecierpliwie wędzidło okrutnego despotyzmu Tarkwiniusza Pysznoego — i był, jak naciągnięta cięciwa, którą dość trącić — aby wypadła strzała.

Gdy pewnego wieczoru królewicz Sekstus, w obozie, przy koleżeńskiej biesiadzie, drwił z cnoty pań rzymskich, utrzymując, że żadnaby mu się nie oparła, oburzony Kollatynus rzucił mu, jako wyzwanie, opinię niewzruszonej wierności małżonki swej Lukrecyi. Sekstus, przykładem ojcowskim do wszelkich nadużyć upoważniony i pewny bezkarności, podnosi wyzwanie, rusza z obozu do Rzymu, i niezadługo tryumfalnie powraca, ukazując towarzyszom przepaskę Lukrecyi, jako trofea miłosne i dowód zwyciężenia oporu cnotliwej matrony. Kollatynus spieszy do domu — Lukrecya nie tłómaczy się, — bo czemu dowiedzie swej niewinności? Niewolnice jej mogły wprawdzie zaświadczyć, jako Sekstus wtargnął przemocą do ich pani, ale świadectwo niewolników nie stanowiło dowodu. Pozostawał tylko dowód moralny — i przed złożeniem go nie zawahała się mężna Rzymianka: wobec małżonka i krewnych przebiła puginalem znieważone swoje łono.

Z dymiącym szlachetną krwią nożem brat

ofiary, Juniusz Brutus, wpada do ludu, powszechne oburzenie zrywa nakoniec tamy cierpliwości, — Tarkwiniusze wypędzeni, rzeczpospolita ogłoszona, a bohaterstwo rzymskiej kobiety zapoczątkowuje wspaniałą epokę historii rzymskiej.

Przeciąg czasu od końca monarchii do początków cezaryzmu, t. j. okres republikański, dzielący się na dwie połowy: pierwsze paręset lat — rzeczpospolita arystokratyczna i drugie paręset — demokratyczna, miał, zwłaszcza w pierwszej swej połowie, nastrój społeczny wysoce etyczny.

Była to faza przejściowa — i zarazem podstawowa — faza konstruowania olbrzymiej budowy państwa rzymskiego tak pod względem przestrzeni, jak mocy, ustroju, charakteru i t. p. Napięcie energii obywateli kraju w jednym wyłącznym kierunku — wytworzenia potężnego organizmu państwowego — pobudzało w nich i utrzymywało tę siłę moralną, która sprawia, że egoizm osobisty tonie w patryotycznym egoizmie zbiorowym. Jednostka wtedy skłonna jest nie tylko do przygodnych wybuchów poświęcenia swego dobra dla sprawy ogólnej, ale także do trudniejszego może stalego podporządkowywania swoich interesów interesowi powszechnemu. Ztąd cnoty obywatelskie, a za nimi także inne, jak rodzinne i obyczajowe, wszystko zaś — w celu dostarczania państwu doskonałych, wszechstronnie pożytecznych obywateli.

Kobiety w swym szczuplejszym zakresie były takiemiż, jak mężczyźni w swoim szerszym. Istoty fizycznie słabe, a duchowo wrażliwe, zwykle umięją stanąć na wysokości tego zadania, które im ktoś siłą swego przekonania narzuci i ku któremu je mocno popchnie. Obywatel rzymski zaopiniował stanowczo, że społecznem zadaniem rzymskiej obywatelki jest, aby była czystą, prawą, poważną i surową, — a więc taką była, a to tem łatwiej, że zdrowa bujność latyńskiego temperamentu skłaniała ją zawsze ku wybitnym dążnościom, tak w złem, jak w dobrem. Bywała rozmaita — najszlachetniejszą i najniegodziwszą — tylko przeciętną nie bywała.

W okresie tym Rzymianie swoją cnotę obywatelską doprowadzili do szczytu; do tego szczytu, który jest zimny, nagi i skalisty, na którym nie rośnie ani kwiatek nikły jakiejkolwiek ludzkiej tkliwości, ani marne ziółko jakiegoś człowieczego ustępstwa na rzecz praw serca, skoro przemawia rozum państwowy.

Brutus ten okres rozpoczyna — i Brutus go kończy.

Pierwszy — Lucyusz Juniusz — dokonawszy chwalebno czynu wygnania tyranów, niezadługo potem, jako urzędnik nowej Rzeczypospolitej, synów swoich, należących do monarchistów, nie tylko sam na śmierć skazuje — chociaż mógł go w tem kto inny zastąpić, ale nawet przy spełnieniu wyroku — chłosty i zięcia — osobiście asystuje. Drugi — Marek Juniusz — duch równie niezłomny i równie w wolności rozkochany, nie poprzestaje na tem, że spisek przeciw Cezarowi układa i popiera, ale do jego wykonania przyłącza się osobiście, i ręką własną sięga po życie swego dobroczyńcy i zaufanego przyjaciela.

Takie naddatki do obywatelskiego heroizmu czynią ową sławną cnotę rzymską nie

tylko straszliwą, ale często potworną. Czuć w tem jakąś popisową przesadę, jakieś pozowanie przed historią, zapewne mimowiedne, jednakże wstrętne etycznie i estetycznie. Bo o ileż byłoby prościej i naturalniej, o ile bardziej po człowieczemu, a wcale nie mniej patryotycznie, gdyby taki przestrzegacz ścisłości prawa, taki stróż i rzecznik wolności, w chwili fatalnej pozostawił drugim dokonanie strony czynnej swego dzieła? gdyby usunął się w cień, chociaż na taki tylko moment, w którym w wykończeniu faktycznym, a czasem tylko formalnym jego przedsięwzięcia, mógłby go bez straty dla sprawy zastąpić ktoś inny? Ale tym ludziom chodziło śmiać o to, aby przed opinią potomnych ustroić się w samochwalstwo swojej bezserdeczności.

A potomność daje się złudzić, i przez długie wieki, zanim się krytycznie opamięta, wielbi w takich ludziach nie tylko tę połowę ich duszy, która jest bohaterską, ale i tę drugą — która jest zbójcecką.

Pomiędzy dwoma Brutusami, w okresie republikańskim, stoi mnogość wielka innych także mężów, którzy w tragicznych chwilach dziejowych, lub nawet osobistych, produkują się z publicznym przedstawieniem pogardy dla tego rodzaju ludzkich słabości, które stanowią siłę ludzkiego serca. Ilekroć ci żelazni ludzie poświęcą jakieś własne uczucie dla szerszej zasady, tylekroć szpecą piękno swego czynu jakąś twardą bezwzględnością, jakimś okrucieństwem, jakąś srogością nieludzką, którą sami za nieludzką uważają. Gdyby trzeba było wypruć wnętrzości wszystkim na świecie ludziom, aby zrobić orzeźwiająca kąpiel dla Rzymu, prawy Rzymianin nie tylko by się przed tem nie zawahał, ale by od rzezi oczu nie odwrócił ani na chwilę, aby nie odjąć czegoś od swojej niezłomności.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W SPRAWIE KOBIECEJ.

(Pour la femme par l'abbé Naudet. Paris, 1903).



(Dokończenie).

I rzecz dziwna, że właśnie od udziału w rządzie kobiety są tak najzupełniej wyłączone, dlatego, że nie umieją pisać, jak Racine, malować, jak Rafael, rzeźbić, jak Michał Anioł lub tworzyć, jak Mozart. Wszystko to dowodzi, że jeżeli liczą wśród siebie mniej geniuszów, niż mężczyźni, nie stoją one przez to niżej od nich pod względem ogólnego rozwoju umysłowego.

Między umysłowością kobiety i mężczyzny niema *identyczności*, ani zupełnej *równości* intelektualnej, ale jest *równowaga* i *harmonia*. Umysł kobiecy nie ma właściwości umysłu męskiego, ale ma inne cechy nie mniej ważne i wybitne. A jeżeli dotąd nie stworzył jeszcze arcydzieł, jest to raczej wina, że był źle rozwijany, a nie że był do tego nie zdolny. Wreszcie geniusze wnoszą się również ponad umysłowość męską, jak i kobiecą.

I mężczyźni nie mają wśród siebie wielu Pascalów.

Kwestya umysłowego rozwoju kobiety była żywotną od początku rozwoju kościoła i rozwiązana przychylnie. Kobieta zjawia się już między słuchaczami Ś. Pawła. Ś. Hieronim w liście do Gaudentego i Lety mówi o wychowaniu ich córek. Chce on, żeby znały prace Ś. Cypryana, Atanazego i Hilarego, a gdy się czyta to, co pisał do Marceli, Fabioli i Principii, trzeba się zdumiewać nad wysokim stopniem kultury, którego dosięgły kobiety ówczesne. W wiekach średnich dziewczętom nawet ubogim dawano wykształcenie prawie takie same, jak chłopcom. A jak wysoko dochodził wtedy rozwój umysłowy kobiet, świadczy o tem cały szereg wybitnych ówczesnych postaci kobiecych.

Tak było do końca XIII-go wieku. Później nastąpił raptowny, nieublagany upadek, który, pomimo reakcji XVII-go w., trwał do dni naszych. Dopiero około połowy ubiegłego stulecia, poruszono na nowo kwestyę praw kobiety do wyższego wykształcenia. Począwszy od 1855 r., Anglia, Belgia, Szwajcarya i Rosya, otworzyły wiele zakładów naukowych dla kobiet. Francya była na razie w tym ruchu ostatnią, ale począwszy od 1880 r., posunęła się naprzód olbrzymimi krokami. Wkrótce usiłowania w tym kierunku dotarły aż na Wschód. Egipt, Francya; Indye otwierają szkoły dla kobiet, które, pomimo, zdawałoby się niezwalczonych przeszkód, wynikających, z miejscowych obyczajów i wierzeń, zapełniały się bardzo szybko. I zrozumiano wszędzie, że dobrze pokierowany rozwój umysłowy kobiety, daje nieobliczone korzyści moralne.

Ale rozwijając inteligencję, nie należy zapominać, że koniecznością jest nadać rozwojowi temu kierunek religijny, że kobieta powinna znać do głębi zasady swej wiary. Nie żyjemy już w czasach, kiedy życie chrześcijańskie zaczęło rozwijać się w spokoju. Dziś na każdym kroku widzimy walkę, w której dusze są w niebezpieczeństwie, więc trzeba umieć je bronić — a to jest obowiązkiem kobiety.

Wyższa kultura religijna musi się opierać na wyższym wykształceniu ogólnym. Jeżeli chcemy mieć głęboko wierzące kobiety — kształćmy umysły młodych dziewcząt. Jako późniejsze żony i matki staną one potem o wiele wyżej.

Kobiety skarżą się często, że tracą wpływ na mężów i synów. Głównym tego powodem jest, że, wierząc zawsze w ich serce, mężczyzna przestaje wierzyć umysłowi. W wieku dziecięcym chłopiec potrzebuje przede wszystkim serca, więc garnie się do matki, bo ona jest miłością samą. Ale w miarę, jak rośnie, samo uczucie mu nie wystarcza, umysł jego potrzebuje światła, — a odczuwając, że matka mu go nie udzieli, zwraca się gdzieindziej, jej zaś zostawia w swem życiu tylko stronę uczuciową, wprawdzie bardzo piękną i wzniosłą, ale niewystarczającą.

Tak się przedstawia w teorii kwestya rozwoju umysłowego kobiety. W praktyce jednak spotykamy wielkie trudności pod względem systemu i sposobów wprowadzenia jej w życie. Co do tego najwybitniejsze umysły

ociągają się jeszcze z wypowiedzeniem ostatecznego zdania.

Jedna jest rzecz jasna, że wszelkie próby w tej mierze, nie dały dotąd zadawalających rezultatów. Powodem zaś tego to, że wszystkie zakłady naukowe dla dziewcząt mniej się zajmują wyrobieniem kobiet wykształconych, jak przygotowaniem kobiet: urzędników, buchalterów, nauczycielek. Jednym słowem, szkoła kobieca daje dyplomy i często chleb w rękę, ale nie ma żadnego wpływu na bezinteresowny rozwój ogólnego wykształcenia, które podnosi ducha, pomnaża wiedzę, rozszerza horyzonty myśli i uczucia.

Jakkolwiek jest, ks. N. twierdzi, że w kształceniu kobiety powinniśmy unikać ciasnej specjalizacji i zbytnej encyklopedyczności, a za to dążyć do jak najszerszego rozwoju jej umysłu i serca. Powinno ono przede wszystkim budzić myśl i dawać zamiłowanie nauki. Ponieważ życie rodzinne jest przeznaczeniem i udziałem większości kobiet, wychowanie powinno z nich urabiać przyszłe towarzyski mężczyzny, [zdolne] nie tylko rozumieć jego prace, ale mu w nich częstokroć pomagać. Powinno przekonać młodą dziewczynę, że równie koniecznie trzeba czytać, jak jeść, bo pokarm jest tak samo niezbędnym dla ducha, jak dla ciała; że trzeba zajmować się wielkim ogólnym ruchem ludzkości i umieć zrozumieć, że świat nie zamyka się w czterech ścianach domu.

Ze wszystkiego, co powiedziano dotąd, wynika, że celem wykształcenia kobiety nie jest to, żeby ją nauczono wielu rzeczy, ale żeby je umiała dobrze i żeby na podstawie tego, czego się uczy, rozwinać jak najbardziej jej inteligencję.

W myśl tej zasady ks. N. podaje pewien program, który jednak nie zamyka się w obrębie nauki szkolnej, uważanej jedynie za podstawę dalszego kształcenia, ale obejmuje i tę pracę późniejszą.

Wspomniany już wyżej pan Proost założył we Francji „Towarzystwo Ligi Narodowej.“ mające na celu rozpowszechnianie w rodzinach nauk praktycznych, pedagogicznych i socjologicznych. Cykularz, który rozesłano, zakładając „Ligę“, przedstawia program, owego kształcenia poza szkołą, który według ks. N. najlepiej odpowiada dzisiejszemu duchowi czasu.

Tak więc wyłom już zrobiony i pierwsze kroki na tej drodze postawione.

Po nas przyjdą inni, mówi ks. N., którzy może robić będą lepiej to, co my robimy; dopatrzą te braki, których my nie widzimy; powiedzą to, czego my powiedzieć nie potrafiliśmy i popchną naprzód wielkie dzieło wykształcenia kobiety, które przed wiekami rozpoczął kościół katolicki, a my je dziś tylko dalej posuwamy.

Jeżeli, jak to widzimy z tego, co powiedziano wyżej, rozwój umysłowy kobiet naszych nie jest odpowiedni do roli, jaką winny odegrać w społeczeństwie, tak samo i wychowanie ich moralne (Rozdz. 10-ty i 11-ty) często jest spaczne, a zawsze prawie niedostateczne.

„Czegóż — pisze ks. N. — wymagamy od dziewczynek, aby powiedzieć o nich, że są „dobrze wychowane“? Wymagamy od nich

tylko, aby były grzeczne, to znaczy, aby nas nie nudziły, dalej, żeby ich sposób znalezienia się pochlebiał naszej miłości własnej, nakoniec, żeby były swobodne i wesołe, a wtedy je psujemy. Jeżeli jeszcze w naukach robią jakie takie postępy, wówczas jesteśmy aż nadto szczęśliwi i wpadamy w zachwyt nad ich doskonałościami.“

„Cóż dziwnego, że kobiety tak wychowane zajmują się tylko strojami, że stają się potworami egoizmu i próżności, które wszystko do swej drogiej im osobistości stosują, że są to tylko papugi próżniacze, które połowę życia spędzają na wygładzaniu piór własnych, a drugą na wyrwaniu ich bliźnim. Patrzcie, co one czytają? Na jakie sztuki teatralne chodzą? Co się mówi w ich salonach?“ Niestety, nie tylko we Francji tak bywa. I w Warszawie także, gdy grają „Złote runo“, lub coś równie drastycznego, więcej niż połowę słuchaczy stanowią polskie niewiasty i młode panienki, ale za to jeden jedyny na 6½ milionów katolików, nowicyat szarytek nie ma dość kandydatek. Ścisłej mówiąc, zgłasza się dosyć, ale dla braku wykształcenia nie mogą być przyjmowane, a częściej jeszcze dla braku wytrwałości i wyrobionego charakteru występują.

Ach ta nieszczęsna ślamazarność nasza, albo przeciwnie tylko krótkotrwała wybuchliwość, ile one nam złego wyrządzają? a przyczyną tego brak zasad, lub spaczony kierunek moralny.

Ks. N. — jako bezstronny, pisząc o wychowaniu klasztornej, które do ostatnich czasów we Francji było prawie powszechne, i wykazując jego zalety, nadmienia także o wadach, za które uważa nadawanie religijności kobiet kierunku raczej zakonnego, niż praktycznego, co i w XVII-tym wieku nie było dobre a dziś jest po prostu szkodliwe.

Powstaje też przeciwko przesadzonej pruderyi i tak zwanej koniecznej nieświadomości, bo wychowanie powinno przygotować do życia i dać siłę moralną do zwalczania niezbędnych w niem przeciwności. Nagania słusznie próżniactwo osób, należących do tak zwanego „Towarzystwa“ przez „T“ wielkie i dowcipnie dodaje: „wszak kobiety pracujące, do „Towarzystwa“ nie mogą należeć, a więc Królowa nasza Marya, ta gorliwa pracowniczka, nie byłaby z pewnością tam dopuszczona.“

Ks. N. jest zwolennikiem wspólnego wychowania dzieci obojga płci a nawet i starszych. Na poparcie swego zdania, cytuje opinie p. Buisson, który mówi:

„Jestto dziś powszechne przekonanie, że chłopcy i dziewczęta wychowane razem nie narażają się na większe niebezpieczeństwo moralne, jak bracia i siostry żyjące pod jednym dachem. Im mniej ich rozdzielamy, tem między nimi jest mniej tajemnic a więc i zbyt ciekawości. Jako dzieci, nie dziwią się wspólnym grom i zabawom: jako starsi, są razem bez żadnych zaniepokojen i bez zdziwienia. To wspólne pożycie zarówno, miłe, jak niewinne nie budzi w nich nowych wrażeń.“

Za to jest stanowczo przeciwny wszelkim internatom dla panien, a to zarówno ze względów moralnych, pedagogicznych i sanitarnych.

Nakoniec ks. N. wspomina o duchowem kierownictwie niewiast przez spowiedników, słuszną robiąc uwagę, że takowe winno być przede wszystkim roztropne, żeby swój cel osiągnęło.

Na tem kończę swoje uwagi w sprawie kobiecej, będące sprawozdaniem z dzieła ks. Naudet.

Jakkolwiek nie we wszystkim podzielam jego zapatrywania, sądzę, że każdy tak, jak i ja przeczyta książkę jego z zajęciem; chociaż bowiem sprawa kobieca u nas ma naturalne swoje cechy charakterystyczne, od poglądów ks. N. odmienne, zawsze jednak praca jego, rzucając wielkie światło na sprawę feminizmu wogóle, nie powinna być obojętną i dla społeczeństwa naszego.

Sposób traktowania sprawy feminizmu poważny, ze znajomością rzeczy połączony, na licznych źródłach oparty, a jednak w formie przystępnej i ponętnej przedstawiony, może zachęcić którego z pisarzy specjalistów, do gruntownego zbadania tej sprawy u nas.

Moim zaś zamiarem było tylko zwrócenie uwagi społeczeństwa na dzieło, które przyczynić się może do postawienia ważnej kwestyi feminizmu na właściwem stanowisku i w odpowiednim oświetleniu, co będzie z pożytkiem zarówno dla społeczeństwa naszego, jak i dla Chrystusowego Kościoła.

Ks. A. Brykczyński.



NASZ KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



(Dokończenie).

Matka strudzona życiem, pracą, może odpościć, a zatrudnienie na wsi znajdzie się i dla kilku córek. Książki gospodarze prowadzić, o chorych i dzieciach pamiętać — doprawdy za mało wszędzie córek na ten obszerny zakres działania. A nawet dział gospodarstwa męskiego nadaje się dla kobiety, jeżeli tylko posiada zamiłowanie, energię i zdrowie. Takie szersze pole dla myśli z pewnością nie przyniesie ujmy młodej osobie, tylko ukształci jej umysł, a praca „dla ziemi“ uszlachetni jej serce.

Życzeniem każdej matki jest wydanie córki za mąż, i słusznie, pragnienie to jest uzasadnione do pewnego stopnia. Zbyt wczesnego jednak wydania za mąż, przynoszącego tyle nieszczęścia rodzinom — lepiej unikać. Niech panienka ma czas do rozwinięcia się fizycznie i duchowo, aby wszedłszy we własne królestwo, umiała niem zarządzać. Rozsądna jednakże matka zapominać nie powinna, że nie zawsze zamążpójście jest szczęściem, że wreszcie nie każda kobieta z przeróżnych powodów za mąż wyjść może i chce. Mając to na względzie wychować trzeba córkę w pojęciu, że być żoną i matką jest wprawdzie najnaturalniejszym zadaniem kobiety, — ale nigdy jej celem. Podług mego zdania, celem, do którego każda kobieta dążyć powinna, to być jednostką pracującą dla kraju i bliźnich. Gdy kobieta za mąż nie pójdzie lub iść nie może tą utartą od wieków drogą, ominąć ją mogą nie jedne dobre i jasne chwile, ale mając zajęcie, dające jej niezależne stanowisko, dochody i możliwość zostania przydatną społeczeństwu — zdobędzie szczęście i spokój.

Więc nie pragniemy dla naszych córek koniecznie mężów! Nie marnujmy „czasu i atłasu“ w pogoni za dobrą partją. Nie wmaiwajmy — nieraz już dziewczątkom młodym — dzieciom prawie, że za mąż pójdą, bo ładne i bogate. Ileż to zatracenia godności człowieka, ileż zawodów i rozczarowań, gdy plany nie wezmą pomyslnego obrotu!

A jak często życie młode zmarnowane na poszukiwaniu i oczekiwaniu tego złotego runa w postaci męża!...

W najlepszym razie, cóż to potem za żona i matka z panny, której charakter się spaczył, umysł zacieśnił poszukiwaniem męża.

Wyrabiajmy lepiej w naszych córkach od lat ich najmłodszych przekonanie, że zamążpójście nie jest koniecznością i kobieta sama może być także szczęśliwą i użyteczną. Do tego celu każda kobieta wszelkimi siłami dążyć powinna i wiedzieć, że obowiązkiem jej jest być pożyteczną społeczeństwu, do którego należy.

W szczególności my, Polki, ileż to zadań i dróg mamy do wypełnienia tego najszlachetniejszego przykazania o miłości bliźniego! Tomy w tym przedmiocie pisaćby można, ale sądzę, że każda zastanawiająca się poważnie kobieta, czy to w rodzinnem kole żyjąca, czy też jako samodzielna pracownica — sama spozstrzeże, jak wiele przez życie zdziałać może.

Jeżeli jest matką — wychować dla kraju dzielnych synów, ludzi pracy, ludzi rozumnych, dać im podstawę wiary i zrozumienie naszych obowiązków — to czyn doniosły w skutkach w najdalsze pokolenia.

U nas, w Poznańskim, ciężka dola, tak ciężka, że zwątpienie ogarnia czasem. Tutaj też jeszcze jedno odrębne ma zadanie kobieta żona i matka — strzedz duszę dzieci swych od „raka kolonizacyi“, który toczy nasze społeczeństwo z ogromną dla kraju i ludzi szkodą. Dzieci już w domu wiedzieć powinny, że to jest zbrodnia, której za żadne skarby, za nic w świecie popełniać im nie wolno.

Złoto uzyskane przez wyrwanie zarobku całym rodzinom, przez wypędzenie ludności z kraju własnego, szczęścia nie przyniesie. Lepiej w biedzie dzieci wychować pracą własną na ludzi pożytecznych i zostawić im uczciwe imię; lepiej, że córka za mąż nie pójdzie, niżby iść miała za kolonizatora, sprzedającego za złoto swój kawał ojcowizny, lub za karciarza, który w jedną noc przegrać potrafi, lub przy zielonym stoliku z całą bezczelnością po cudzą sięga własność.

Matki to winą, gdy syn te niegodne popelnia czyny; nie miała czasu urabiać mu duszy, pojęcia obowiązku, nie umiała władc w dziecko idei szlachetnych.

Ileż to nieszczęść uniknęłyby rodziny nasze, ile majątków byłoby w naszych pozostało rękach, gdyby syn wiedział od dziecka, że gra w karty to czyn niegodny, niehonorowy, że sprzedaż majątku w obce ręce, to zbrodnia, niczem nigdy nieuniewinniona. Ilu to mężów, pamiętając na swoją dobrą, rozumną matkę, na jej nauki i wskazówki, na przykład im dany, byłoby dobrymi mężami, nie szukając rozkoszy ohydnych, zatrujących społeczeństwo nasze!

Bo jeżeli narzekamy na młodzież, martwimy się, że córki nasze złych dostały mężów, winne temu matki.

Wychowujmy synów dobrze, a córki nasze będą szczęśliwymi żonami. Wychowujmy córki dobrze, a zastąpią nas one w przyszłych szeregach — czy jako żony i matki — czy też jako kobiety pracujące na różnych polach, a wszędzie dla dobra własnego kraju. Myślę, że czytanie dzieł dobrych o wychowaniu dzieci, ułatwia ogromnie nasze zadanie i tego środka powinna się chwycić każda matka.

Zamiast strojnego kapelusza lub kosztownego kostyumu, lepiej kupić czasem pożyteczne dzieło, a w towarzystwie zamiast plotek potwornych, lekkomyślnie powtarzanych, nasu-

wałyby się tematy więcej interesujące, niż to, że pan X. kocha się w pannie Z., a pani A. kokietuje pana B., że pani C. miała niegustowną toaletę, a pani D. więcej wydaje, niż może i t. d., i t. d.

Im więcej w dzieciach wyrobi matka uczucia delikatności, im więcej zalet, tem więcej sama na starość dozna od nich poszanowania i miłości. Dzieci wypieszczone, którym wszystko było wolno, które z bonami przebywały dni całe, często gorzkie łzy sprowadzają na zmienione oblicze rodziców. Jest to chyba najstraszniejsza boleść w życiu, a jednakże ilu to ludzi własnowolnie ją sobie sprowadza!

Więc w mojem pojęciu najważniejszym obowiązkiem kobiety-matki jest dobrze wychować dzieci. Nie wyłączam ojców od tego zadania, ale to znówu osobny kwestyonaryusz na ten temat ogłosićby trzeba.

Zapewne, nie jedna z kobiet zapyta się może, przeczytawszy tyle o poważnych naszych obowiązkach, czy podobna żyć ciągle w pracy i z dziećmi, czy to możliwe nie mieć rozrywek, wizyt, stosunków z ludźmi.

Odpowiem na to: kobiecie rozumnej na wszystko czasu starczy, i na zabawę, i na przeczytanie zajmującej książki, i na pójście do teatru, i na przyjęcie gości, ale niech to uważa za przyjemności życia,—niech im nie poświęca dni, a czasem nocy całych. Niech plotki nie brudzą jej umysłu, niech stroje będą rzeczą zbytkowną, na które tylko kobiety w szczęśliwym i bogatym narodzie pozwolić sobie mogą.

U nas kobieta inne przed sobą cele mieć powinna: wypełnianie obowiązków na równi z mężczyzną. Wychowanie dzieci na użytecznych członków naszego społeczeństwa — to jej obowiązek, a gdy tego dokona, zdobędzie zarazem szczęście osobiste.

Z nad Warty.



A. B. de Guerville.

Szkice z Japonii.



II.

Japońska dama.

Jak we wszystkich opowiadaniach prawdziwych, była młoda i czarująca.

Jest jeszcze młoda i zawsze czarująca.

Obecnie mąż, jej hr. I. piastuje godność ambasadora przy jednym z wielkich dworów europejskich; nie wymieniam jej nazwiska tylko dlatego, że dyplomaci japońscy nie lubią widzieć w druku swoich nazwisk.

Rzecz dzieje się w Tokio, w olbrzymim parku prezesa Izby handlowej, który w dniu tym wydaje „garden-party“ na cześć kilku cudzoziemców; w ich rzędzie jestem ja. Po za tymi gośćmi specjalnymi, są tam ministrowie japońscy i ambasadorowie zagraniczni, profesorowie uniwersytetu i artyści, razem ze sto osób.

Nasz amfitryon przyjmuje nas na tarasie; a gdy już wszyscy się zebrali, zdejmuje cylinder i wita swych gości grzeczną oracyą. Słucham jej piąte przez dziesiąte, ale nagle przestaję słyszeć zupełnie.

Przed kratą ogrodową stanął powóz. Wysiada z niego młoda i wytworna kobietka i zmierza ku nam.

W głowę zachodzę: Kto to taki?... wreszcie przekonuję się, że jej wcale nie znam. Dziwi mnie to ogromnie, bo mi się zdawało, że znam wszystkie damy ze świata dyplomatycznego, oraz wszystkie cudzoziemki, które mogą być zaproszone na tak wytworne przyjęcie.

W miarę, jak się ku nam zbliża, podziwiam jej śliczną suknię z jedwabnej popielatej krepy, arcydzieło paryzkie i kapelus, który przybył prosto z ulicy de la Paix, ale zamieniam się w słup, gdy moja Paryżanka na bliższą metę okazuje się Japonką. I ja jej dotychczas nie znałem!

Podchodzę do barona Sannomuja, wielkiego mistrza dworu i pytam zcicha:

— Kto jest ta śliczna osoba?

— Hrabina I... synowa, ministra spraw wewnętrznych. Jej mąż—widzisz go pan w tej grupie—należy do wybitniejszych dyplomatów. Powrócili świeżo z Europy. Chcesz pan być przedstawionym hrabinie?

Czy chcę!!

Na szczęście, mówi po francuzku, po angielsku, a nawet po niemiecku. Pełna prostoty, uprzejmości, szczerbiocę temi językami naprzemian; wreszcie mówi do mnie półgłosem:

— Nudna oracya —a taka długa! Chodźmy do parku. Śliczny! Pokażę go panu.

Wysuwamy się z tłumu gości, wchodzimy w aleję, obramowaną wspaniałymi chryzantemami, wstępujemy na dziwaczne mostki, okrążamy jezioro, wreszcie znajdujemy się w części ogrodu, gdzie nasz amfitryon zgromadził tysiące rozrywek. Jest tam i teatrzyk, na którym odtwarzają właśnie pantominę; są muzycanci, tancerki, atleci, zonglerzy, nie braknie też namiotu z bufetem.

Oglądając to wszystko, gwarzymy wesoło.

— Słyszałam o panu—mówi do mnie moja towarzyszka,—wiem, że po za missyą, która go tu sprowadza, żywi pan literackie zamiary. Podobno chce pan pisać o Japonii. Czy to prawda?

— Już nawet zacząłem.

— Już? Bawi pan wśród nas tak niedawno! Cóż pan może napisać?

— Będzie się pani ze mnie śmiała—piszę artykuł o kobietach japońskich.

— Więc pan sądzi, że je zna.

— Nie mam tej zarozumiałości, kreślę wrażenia podróżnika.

— Chciałabym przeczytać ten artykuł! Proszę mi przytoczyć choć jeden szczegół.

— Dobrze. Między innemi, opowiadam, że kobietom japońskim nieznany jest pocałunek.

Przerwała mi kaskadą śmiechu i oklaskiem.

— Brawo! Brawo! Ma pan słusność. Ale jakże pan to odkrył?

— Hm!.. hm! na drodze obserwacji... I pani przecież, jako Japonka, nie wie, co to pocałunek... a może...

— *You bet I do* *).

Wyrwało jej się to mimowoli; niezmiészana, wciąż uśmiechnięta, prawdziwa żona dyplomaty, zmieniła rozmowę, pytając:

— Czy będzie pan jutro na balu?

Nazajutrz, jako w dzień urodzin cesarza,

*) Zalóż się pan, że wiem.

minister spraw zagranicznych wydawał bal doroczny, zwykle świetny.

— Naturalnie—odpowiedziałem—a pani?

— I ja, niestety. Znudzę się, bo nie będę mogła tańczyć. Jak panu wiadomo, księżna reprezentuje cesarza na tym balu, towarzyszę jej, jako dama honorowa. Ponieważ księżna nie tańczy, więc i ja będę musiała przesiadzieć obok niej cały wieczór.

— Czemuz nie nauczyła się tańczyć?

— Umie doskonale.

— A więc?

— Zachodzi ważna przeszkoda. Na balu nie będzie ani jednego księcia japońskiego. Księżna mogłaby tańczyć tylko z jakim dygnitarzem zagranicznym, bardzo wysoko postawionym, ale takim nie przychodzi na myśl ją zapraszać. Może nie wiedzą, że ona lubi taniec.

Doszliśmy do bufetu i składając hołd pastetom, osmażanym kasztanom i szampanowi, tworzyłem różne plany.

Po chwili żegnając odjeżdżającą hrabinę, szepnąłem jej na ucho:

— Księżna będzie tańczyła. Zdaje mi się, że znalazłem na to sposób, jestem pewien, że się uda. A teraz prosba do pani. Czy mogę mieć zaszczyt...

— O! i owszem, z całą przyjemnością, ofiaruję panu walca w nagrodę.

Bal wydawany był w Hotelu Imperial — *Teikoku*. Na końcu olbrzymiej sali, naprzeciw drzwi ustawiono fotele i krzesła dla księżnej oraz jej świty. W ciągu dnia zapytywałem wszechwiedzącego generała L., kto będzie najwyższą postawioną osobą na balu?

— Admirał U., głównodowodzący francuzką flotą na Dalekim Wschodzie. Ma być dzisiaj z całą swoim sztabem głównym.

Ta odpowiedź zbiła mnie z tropu, gdyż nie znałem admirała, przybyłego do Tokio przed godziną.

Zawiedziony w mych rachubach, zchodziłem do sali balowej. Wtem na kurytarzu spotykam admirała z moim znajomym wicehrabią de L., francuzkim *attaché* wojskowym.

— Na miłość Bożą przedstaw mnie admirałowi—szepczę mu na ucho. Gdy tego dopełnił, w imię honoru Francji poczynam namawiać dygnitarza, aby zaprosił księżnę do tańca. Wysłuchał mnie grzecznie.

— Przykro mi bardzo—odparł,—ale... zaoblężone rany... reumatyzmu tańczyć nie pozwalają.

Dałem pokój nadwężonej marynarce i wyruszyłem na poszukiwanie dziekana dyplomacyi. Był nim ambasador Meksyku, senor de R... Bardzo miły, intelligentny, miał olbrzymią fortunę i śliczną żonę, dwa przymioty, które mu dodawały blasku. Ale senor de R. nie świecił przymiotami powierzchnowości. Małutki, chudy, żółty, pomarszczony, jak ugotowane jabłko, z jednym okiem przygasłem mógł wybornie udawać Japończyka.

Stał właśnie u drzwi sali balowej.

— Wielka nowina!—oznajmiłem mu tajemniczo—księżna chce tańczyć.

— Ba! Ale z kim?

— Jako — z kim? Może tańczyć tylko z dziekanem ciała dyplomatycznego, największą personą wśród cudzoziemców.

Ambasador napuścił się i zdrowe oko nabrało blasku.

— Jest przecież admirał.

— Admirał nie tańczy.

— *Per Dios!* Więc ja muszę.

Miał jeszcze pewne wątpliwości, bał się, czy to nie figiel.

— Kto pana uwiadomił o zamiarach księżnej? — zapytał.

— Hrabina I., jej dama dworu — odrzekłem z całą powagą.

Wobec takiej informacji, nastroszył się, obciągnął kamizelkę, podkręcił węża i krokiem posuwistym maszerował przez salę, zwracając na siebie wszystkie oczy. Wyrósł i wypiękniał od razu. Doszedłszy do księżnej, uklonił się trzykrotnie, głęboko. Księżna wstała z uśmiechem i położyła mu rękę na ramieniu. Wszyscy osłupieli.

Zanim komukolwiek przyszło na myśl zaprosić do tańca hrabinę I., już z nią wirowałem po sali, dumny z mego pomysłu, uszczęśliwiony, tem bardziej, że tańczyła słuźnicie. Po kilku *tourach*, sadzając ją na miejsce, szepnąłem:

— Widzi pani, że postawiłem jednak na swoim.

— O tak, pan umie sobie radzić!... Zajdzie pan wysoko.

— Niestety, hrabino, nie zaszedłem. Jestem wciąż u twoich stópek.



Ż Y C I E.



Dawnoż dzień był u rozświtu

Biegł za tonem ton?

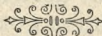
I już smutno wśród błękitu

Bzmi wieczorny dzwon...

Dzień mój minął! Jakże blisko do nocy od rana!

Już na „Aniol Pański“ dzwonią! Piosnka dospiewana!

Adela Konieczna.



SILVIO PELLICO.

(W 50-tą rocznicę śmierci).



Wśród długiego szeregu ludzi, co szli budzić uspionego ducha narodu włoskiego, co nie szczędzili łez, cierpienia, myśli, czynów, całego życia swego — byleby tylko rozniecić jasny płomień wśród posępnych mroków, otwóżyć oczy tym, co ślepi, rozgrzać pierś skręplą współbraci — wybitne miejsce zajmuje znakomity pisarz — Silvio Pellico.

W ojczyźnie swojej do dziś cieszy się on uznaniem: niszcząca potęga czasu oszczędziła laurowe liście, zdobiące skroń poety, nie dała im zgnieć w ziemi; choć ciało poszło na spoczynek, znużone i odarte z kraszy, duch co rwał się w błękit przez całe doczesne istnienie, uleciał na wysoczyznę bezmierną i tam roztoczył śnieżne, nieskalane skrzydła — wielki, nieśmiertelny, wieczny...

Pamięć poety przeżyła jego samego, przechowywana troskliwie w krzepnących sercach tych, którzy go ongi znali, i w gorejących za-

pałem duszach młodzieńczych, które naucono znać go — nie znając, kochać i czcić...

W Panteonie Chwały narodowej imię Silvia Pellica świetlanym jaśnieje blaskiem i jaśnieć będzie długo jeszcze, bo zasługuje na to...

Po nad tłum zapalonych, szaleńczych, przemiętnych duchów, co szczerze pragnąc dobra swej krainy, nie umieli go jej zapewnić — wznosi się Silvio Pellico tym kamiennym spokojem cichego człowieka, co bez szumnych rozgwarów bitew, bez hałaśliwego rozwrzasku żądał szczytnych i egotycznych obejść się umiał i doszedł do celu drożyną swoją, głuchą i nieznaną tam, dokąd inni dążyli, ale wcześniej od innych.

„Le mie prigioni“ — dzieło, które samo jedno ucieleśnia dążenia i porwy całego narodu, jego myśli, uczucia, cierpienia — dzieło pełne rozważnej, spokojnej uczuciowości, mistycznej cichości i prostoty prymitywnej — oto czyn Silvia Pellica, oto dokument doby ówczesnej, wielki w swojej prawdzie, który od razu zjednał twórcy uznanie, rozgłosnym uczynił jego imię i dał mu prawo do nazwy: rozumnego patrioty.

Silvio Pellico urodził się w Piemontcie, w miasteczku Salucci w końcu XVIII-go w. (w r. 1789-ym). Syn rolnika średnio wykształconego, który jednak chciał widzieć syna bardziej uczonym od siebie samego, Pellico wziął po ojcu pewną część jego uprzedzeń do Austryaków, panujących w czasach w Lombardyi, po matce zaś prostotę i naiwność serca, nieskażonego burzami namiętności, słodycz charakteru i religijność.

Pellico przez całe życie był też wyrozumiałym, dobrotliwym, sentymentalnie mistycznym, nadzwyczaj religijnym człowiekiem, który ani chciał, ani umiał kogoś nienawidzieć, przeklinać, działać na czyjąś szkodę...

Co było dogmatem jego współczesnych — nienawiść płomienna przeciw Niemcom — to w duszy jego nie znajdowało oddźwięku, a jednak on to właśnie stał się mężem, który w cierpieniach własnych uwidoczniał niejako całego narodu cierpienia i zdziałał to, czego nie mogli zrobić tamci — rozbudził ducha.

Talent poetycki wcześniej się rozwinął w Pellico'u; już podczas pobytu u swoich krewnych w Lyonie, gdzie bawił, dokończywszy wprzód wychowania swego w Pignerolo — zaczął pisać wiersze, a pobudką jego twórczości stał się poemat Ugo Foscola „Groby“, pod którego wpływem napisał sporo poematów, owianych cichą melancholią i nostalgią. Tęsknić zaczął wtedy do ojczyzny i nie mógł długo opierać się temu uczuciu. W r. 1818-ym powrócił do Włoch.

Tu, zakrzętnawszy się około uporządkowania swych interesów, zaczął szukać odpowiedniego miejsca i znalazł je wkrótce w postaci posady nauczyciela w domu hr. Luigi de Porro-Lambertenghi.

Był to jeden z pierwszych domów w Lombardyi, wysoce patriotyczny: tu zbierali się wielcy mężowie Włoch, tu bywali znakomici cudzoziemcy, jak: pani de Staël, Byron, Thorwaldsen i inni.

Silvio Pellico zwrócił już na siebie uwagę: ceniono go, jako obiecującego poetę i nie zawiódł też pokładanych w nim nadziei.

W roku 1818-ym wystawił poeta tragedję swoją „Laodamia“, której przyznawano poważne zalety, atoli następne dzieło „Francesca di Rimini“ zdobyło mu rozgłos nie tylko w kraju, ale i po za jego granicami. Byron przetłumaczył je na język angielski, Silvio Pellico zaś przełożył jego „Manfreda.“ Odtąd zaczęły się dla Pellica dni tryumfu i cierpienia.

Nową jego tragedję „Eufemia di Messina“ konfiskuje cenzura, dopatrująca się w stosunkach Sycylii do Saracenów alluzję do stosunków lombardzko-austriackich.

Hr. di Porro zakłada pismo „Il Conciliato-

re“ i powierza kierunek tegoż w ręce młodego poety, aliści nad głowami wydawcy i redaktora zaczyna się srożyć burza. W piśmie tem widzą władze organ spiskowców i zmuszają hr. di Porro do zawieszenia wydawnictwa.

Niezręczność Silvia Pellico powoduje wmięszanie się policji w sprawę domu hr. di Porro, który wraz z przyjaciółmi, w czas ostrzeżony przez gubernatora Medyolanu, nie pragnącego bynajmniej krzywdy oskarżonych, udaje się na wieś.

Poeta, zawsze naiwny i ufny, pozostaje w domu, w mieście. Aresztują go i bez śledztwa pakują do więzienia Santa Margherita w Medyolanie.

Było to w Listopadzie roku 1820-go.

Przeniesiony następnie do Wenecyi, do t. zw. „Piombi“ w pałacu dozów, Silvio Pellico pozostaje tam przez dwa lata i nareszcie wypuszczony z więzienia, wydostaje się — nie na swobodę, lecz na szafot.

Ze spokojem, z zimną rozważą, mającą źródło w głębokiej wierze, idzie poeta na śmierć, bez drżenia wstępuje na stopnie rusztowania, aby dać głowę pod miecz katowski. Ale odczytują mu wyrok: cesarz ułaskawia więźnia, zamienia mu karę śmierci na 15 lat więzienia w Spielbergu.

Tu cierpi tortury moralne i fizyczne, ale nie upada na duchu; opuszczony, zapomniany przez przyjaciół, dopiero w r. 1830-ym uwolniony, dzięki staraniom ministra turyńskiego w Wiedniu, odjeżdża do kraju.

Tu osiada w Turynie, w domu margrabiego Barolo, tu pisze świetny swój utwór „Moje więzienia“, i odtwarza z pamięci powstałą w więzieniu tragedję „Gismonda.“

Wydaje i wystawia poprzednio napisane „Iginia d'Asti“, „Ester d'Engadi“, a wreszcie — po powrocie z Paryża, gdzie nie przyjął ofiarowanego mu urzędu na dworze króla Ludwika Filipa, puszcza w świat omawianą wyżej pracę.

„Le mie prigioni“ ukazała się na półkach księgarskich w r. 1833-im i wstrząsnęła całym światem.

Sam autor nigdy nie przypuszczał, aby jego zwierzenia, stanowiące smutną melodję wspomnień więziennych, niesłychanie szczere i bez wszelkiej pozy pisane, mogły tak kolosalne wywrzeć wrażenie.

Spokój ducha Pellico'a, będący jego siłą, złamał się pod wpływem tego sukcesu; autor, przerażony tem, podejrzewający sam w sobie zdrajcę stanu, stał się nagle reakcyonistą, oddał się na usługi rządu austriackiego i Jezuitów.

Nie jedno potem napisał jeszcze.

Ale w tych późniejszych pracach dojrzałego pisarza niema już ani trochę tej mocy natchnienia, jaka bije z „Le mie prigioni.“

Od r. 1834-go ogłaszał drukiem różne dzieła, z miernem jednakże powodzeniem: twórczość jego osłabła i już nigdy nie zajaśniała dawnym blaskiem.

Ani „Dei Doveri degli uomini“ (o obowiązkach ludzi), traktat, zawierający piękną i rozsądną teorię, ani dwanaście małych poematów, zatytułowanych „Cantiche“, naśladowanych w skróceniu epepeę historyczną, ani historia pierwszej miłości, zamknięta w strofy poematu „Passioni“, ani parafrazy wierszowane z Naśladowania, ani wreszcie tragedję „Leoniero de Dertona“, „Conradino“, „Herodiade“, „Rafael de Sienna“, „Francesco d'Agzigente“, nie noszą na sobie piętna wielkiego talentu Pellica, choć nie są to rzeczy słabe i bez wartości.

Pellico nie obcym jest i naszemu piśmiennictwu, tłumaczono dzieła: „Moje więzienia“, „Francesca di Rimini“ (przekład Juliana Bartoszewicza), „O obowiązkach człowieka“ (dwa tłumaczenia polskie: Michała Wiszniewskiego i K. Forstera), a choć wielkiego rozgłosu nie

zyskały one u nas, niemniej czytano je chętnie z ciekawością dużą i uwagą.

Silvio Pellico umarł w r. 1854; żył lat 65, z których dziesięć, spędzonych za życia w grobie, wiele mu cierpień przyniosło. Ale los, jak gdyby pragnąc mu się wypłacić za tyle męki duchowej i cielesnej, wskazał mu źródło, z którego była najczystsza moc natchnienia: w tem źródle skapał poeta myśl udreżoną, orzeźwił duszę i zyskał hart nieśmiertelności.

I oto dziś ciało jego dawno przetliło się w lichą garść prochu, a przecież on urąga znikomości, urąga nicości wszystkiego, bo trwa i żyje...

I trwać będzie wiekuiście w potężnych tworach swego ducha...

T. K.



Niesłowność.



Niesumienność i niesłowność jest jedną z największych wad naszych, zakorzenioną od podstaw, aż do wyżyn społecznych.

Ileż to razy z drobnych faktów życiowych składają się nasze niepowodzenia, irytacje; a nawet i straty materyalne, a wszystkie one wypływają z jednego powodu: z braku poczucia się do danego zobowiązania i rozliczenia czasu, potrzebnego na wykonanie zamówionej pracy.

Weźmy przykład: dlaczego w aptekach naszych tak długo trwa przyrządzanie lekarstwa, nieraz drobnego? Nie mówię już o tem, gdy chodzi o emulsię lub pigułki, ale nieraz najprostszymi środkami wymaga co najmniej pół godziny drogiego czasu. Zostawiasz tedy receptę i bieżysz na miasto. Powracasz o oznaczonej porze i cóż?... Najczęściej na widok wchodzącego, lekarstwo zaledwie zaczynają przyrządzać, a ty biedaku, który masz chorego w domu, siedz i czekaj cierpliwie!

Inny przykład: oddajesz bieliznę do pralni, niezbędnie ci potrzebną na jutro; przedstawiasz, że sprawa jest pilna i nieodzowna, targujesz się o każdy kwadrans czasu, nakoniec oznaczasz godzinę i pełen słodkiej pewności i zadowolenia opuszczasz zakład, ufny będąc, iż czystą bieliznę w porę odbierzesz. Złudzenie! Nazajutrz wchodzisz znów do tej pralni i pytasz o swoje rzeczy. Najsamprzód wszędzie uderza cię fakt, iż najczęściej niema tej samej osoby, która poprzednio zamówienie od ciebie odbierała. Oglądają cię i wypytyują, kiedyś był, coś oddawał do roboty, nakoniec po należytem sprawdzeniu tożsamości twojej osoby, zaczynają poszukiwanie bielizny. I cóż się okazuje?... leży nietknięta w koszu lub na półce, jak ją od wczoraj pozostawili. Rozpoczyna się wtedy robota „na gwałt,” byle jaka, niestaranna, na którą znów „małe półgodzinki” poczekać musisz. I dobrze, jeśli się na jednej wycieczce skończy, bo częstokroć ze trzy razy zachodzić musisz po odbiór jednej sztuki bielizny. Myślicie, że to wyjątek. Bynajmniej! Na dowód przytoczyć mogę fakt, że w przeciągu miesiąca w 7-iu zakładach zrobiono mi podobny zawód.

Trzeci przykład: oddajesz do reparacji maszynkę, która w twem kawalerskim życiu

jest twą główną żywicielką z rana i wieczorem; — prosisz i przekładasz, aby ją w jak najkrótszym czasie naprawili, bo cóż począć! — przyzwyczajony jesteś do własnej herbaty w domu. I... i znowu to samo, co w poprzednich wypadkach. Najpierw zdumienie, potem poszukiwanie w zaległych rekwizytach i nakoniec maszynka stoi od dni kilku nieruszona.

To samo dzieje się w każdym wypadku i z każdą reparacją bucików u szewca, parasolki u parasolnika, z każdym terminowym obstalunkiem.

Dzieje się to zupełnie tak, jak gdyby ludziom chodziło przedewszystkiem: 1) tylko o przyjęcie zamówienia, 2) o pobranie pieniędzy. Czy robota będzie dobra i sumiennie wykonana, mniejsza o to; odbieram wrażenie, jakoby zawsze po wyjściu za drzwi klienta, odstawiało się na bok robotę, „aby się odleżała.” I... — powiadają, — przyjdzie, to poczeka, a nie przyjdzie, to się jeszcze zrobi!

Jedynym wybiegiem w takich razach jest zwykle: „Prosimy o adresik, to się odeszle.” Biada łatwowiernym! — na odesłanie nie jedną jeszcze dobę zaczekać trzeba będzie, a jeśli bardzo nalegać i pilić zaczniesz, odeszłą ci rzecz ledwie rozpoczętą, lub byle jak odklepaną.

I to jest także jeden z rysów naszej zakorzenionej rutyny.

W „innych sferach,” t. j. mam na myśli sferę ludzi, którzy nie pracują zawodowo dla zarobku, spotykamy podobne objawy niesumienności. Naznaczamy obstalunek na termin i nie zjawiamy się po odbiór przez kilka tygodni; umawiamy się z kimś na godzinę i każemy mu czekać co najmniej 30 minut; co więcej, dajemy częstokroć słowo, szlacheckie „słowo honoru” dla rzeczy, której już z góry nie mamy zamiaru dotrzymać lub wykonać; podejmujemy się pracy i pośrednictw, obiecujemy swoją pomoc i poparcie, zobowiązujemy się do działania, aby wszystko to potem utonęło w gnuśnej niepamięci.

Przykładów możnaby przytaczać bez liku.

Tak było zawsze dotąd i dobrze było! — powiadacie sobie z leniwem zadowoleniem. Nieprawda! Jeżeli było dotychczas — źle było i jest źle! Czas chyba, aby poprawić te stosunki, budząc w duszach poczucie podjętego obowiązku i sumienne jego wypełnianie.

G. T.



Z Kassy kobiet.



W dniu 20-ym b. m. odbyło się ogólne zebranie uczestniczek Kassy, zwołane w drugim terminie. Zebranie zagaiła wiceprezesowa Kassy, p. Marya Małkowska, i w treściwej, dobrze wypowiedzianej mowie, przedstawiła działalność i rozwój instytucji za rok 1903-ci, udzielając przytem objaśnień, dotyczących czynności Zarządu, oraz wykazujących różny, nie zawsze właściwy sposób postępowania uczestniczek. Zaznaczyła też p. Małkowska gorące usiłowania Zarządu, skierowane w celu wytworzenia letniska dla uczestniczek chorych i przeciążonych pracą, po-

trzebujących odpoczynku. Na ten cel Kassa posiada dopiero zapoczątkowanie potrzebnego funduszu, lecz Zarząd nie wątpi, że początek ten dobrym i trwałym pozostanie przykładem. Fundusz, na letnisko przeznaczony, składa się dotychczas z summy rubli 500, złożonej przez Annę hr. Branicką, ustępującą z powodu wyjazdu i słabości zdrowia z zajmowanego stanowiska prezesowej Kassy, i z summy rubli 200, osiągniętej z przedstawienia Miłośników sceny, na cel powyższy urządzonego. Zebranie ogólne przyjęło usiłowania Zarządu z uznaniem i upoważniło Zarząd do urządzenia letniska z funduszy prywatnych, celem tym oznaczonych.

Najglówniejsze wnioski, dotyczące się koniecznej zmiany niektórych paragrafów Ustawy, nie mogły być przedstawione i przedyskutowane, ponieważ dla przeprowadzenia podobnych wniosków zastrzeżona jest w Ustawie obecność $\frac{2}{3}$ wszystkich uczestniczek, czyli 560 osób, co jest rzeczą niezmiernie trudną do osiągnięcia.

Zmiany są niezbędne, do tego przeświadczenia doszli wszyscy, to jest Zarząd, Komisja rewizyjna i uczestniczki. Zarząd prosi więc usilnie o jaknajliczniejsze przybycie na Zebranie nadzwyczajne, jakie w tym celu będzie zwołane. Dla ułatwienia licznego zgromadzenia głosów, zebranie ostatnie uchwaliło dopuszczenie upoważnień, z warunkiem atoli, aby obecna uczestniczka mogła mieć tylko jedno upoważnienie.

Projektowane zmiany opracowane są przez Zarząd i Komisję rewizyjną, o przygotowanie zaś wniosków Zarząd prosi uczestniczki, przyrzekając udostępnienie i rozpowszechnienie wiadomości o treści projektów, aby zatwierdzenie zmian dokonane zostało z całą świadomością celów.

Sprawozdanie, zatwierdzone przez Zebranie za rok 1903-ci wykazało: przychodu rubli 15,607 kop. 41, wydatków rubli 15,206 k. 81. Pożyczek udzielono na sumę rubli 5,500. Kapitał przezorności lit. A. wynosi rub. 7,844 kop. 61, lit. B. rubli 553 kop. 74. Na czysty zysk pozostaje rubli 202 kop. 71, którą to sumę uchwalono dołączyć do kapitału zasobowego.

Kassa nie wykazała wprawdzie tak znacznych zysków, jak w roku zeszłym, co stało się z powodu, że wszelkie dochody niestałe, nie dopisujące w roku ubiegłym żadnej instytucji, nie dopisały też i Kassie kobiet, lecz wykazała za to, że może istnieć prawdziwą samopomocą, trwać doskonale o własnej sile, a summa 900 rubli z górą, wypłacona za porady lekarskie i lekarstwa, zastępuje chyba wysoką dywidendę. Nadto, staraniem Zarządu, uczestniczki korzystać mogą ze znacznej obniżki cen za kąpiele w niektórych pierwszorzędných zakładach kąpielowych w naszym mieście; Ciechocinek zaś ofiarował dla uczestniczek 150 kąpeli bezpłatnych, a cenę kąpeli błotnych zredukował do połowy.

Na rok bieżący zatwierdzono budżet, obejmujący 2,400 rubli wydatków. W tej summie przewidziano rubli 700 na pomoc lekarską, rubli 300 na zapomogi. Summa ta może być powiększona przez specjalnie na ten cel wyszczególnione ofiary.

Zebraniu przewodniczyła z wyboru p. Michalina Mercère, sekretarką była p. Marya Bulkówna.

Do zarządu wybrano panie: Małkowską, Makowiecką, Chomenkową i Skarzyńską (ponownie i prawie jednogłośnie), oraz Norblinową, Pozziową i Czernikównę.

Na prezesową Komitet obrał z pomiędzy siebie p. Norblinową.

Do komisji rewizyjnej obrano też ponownie i jednogłośnie panie: Golezównę i Lothową, oraz p. Bogusława Hersego.



Na półkach księgarskich.



„Stuleciem dziecka“ pono nazwała Ellen Key nasz wiek, utrzymując, że sprawy związane z wychowaniem przyszłych pokoleń życie współczesne wysunęło na pierwszy plan.

Że tak być powinno, to nie ulega chyba wątpliwości. Wszelka działalność naukowa, społeczna, etyczna na drodze swego rozwoju napotkać musi troskę o prawidłowy rozwój tych sił fizycznych i moralnych, jakie dziś w formie utajonej tkwią w duszykach następców naszych w dążeniach, by „rozkwit dnia biały prędzej zabłysnął na ziemi.“

Lecz w praktyce, niestety, dzieje się jeszcze inaczej i gdyby słynna pisarka na naszym np. działała gruncie życie nie pozwoliłoby jej tak optymistycznego wygłoszenia zdania.

My, na ogół, zajmujemy się wszystkim, tylko nie wychowywaniem racjonalnym. Świadkiem obojętność naszego społeczeństwa dla wydawanej prawdziwym poświęceniem kilku jednostek „Encyklopedyi Wychowawczej,“ świadkiem vegetacja jedyne u nas organu, zajmującego się teorią pedagogii, świadkiem... może zresztą lepiej nie powoływać więcej świadków, bo i ci niepocholebne dla nas złożyli zeznania.

Czas chyba cofnąć się z tak wygodnej placówki, czas uderzyć „w czynów stal.“

W tej kwestyi właśnie chciałem słów kilka powiedzieć.

Wszyscy ludzie dobrej woli, zwłaszcza matki i nauczycielki, mające z natury rzeczy najwięcej do czynienia z dziećmi, mogą dla dobra ogólnego zrobić bardzo wiele, mogą nauce olbrzymie oddać usługi, choćby nawet nie posiadały specjalnego wykształcenia w tym kierunku.

Jakim sposobem?

Zbierając materiały dla psychologicznych i psychopatologicznych badań nad rozumem dziecka.

Na co się to przyda?

Posłuchajmy, co w tej sprawie pisze jedna z najbardziej zasłużonych nauczycielek, p. Aniela Szye: „Wiemy, że wychowawca powinien uwzględniać indywidualność dziecka ale czy umiemy sobie zdać sprawę do jakiego typu umysłowości należy nasz uczeń? Wiemy, że wszelkie nauca- nie opierać się powinno na wyobrażeniach i pojęciach, które dziecko już posiada, lecz czy znamy dokładnie ten zasób umysłowy w różnych czasach dzieciństwa? Wiemy, że nauka powinna budzić zainteresowanie, ale czy wiemy na- czem je oprzeć?...“

Jakież wymowne pytania.

Wobec tego ponure przypuszczenie: czy warto? jest tu najzupełniej nie na miejscu.

Nastęcza się tu jednak nowa trudność, mianowicie, *jak* działać należy, by żądany materiał dostarczyć specjalistom, którzy go odpowiednio zużytkują i czy w ogóle pomoc „profanów“ jest tu pożądana.

Przedewszystkiem odpowiedź na drugie pytanie.

Po pierwsze: Każdy wychowawca, rodzice, nauczyciele i cały szereg osób, które życie postawiło w zetknięciu z dziećmi, nie jest i nie może być w ścisłym znaczeniu profanem w tej mierze, powtórze, nauka musi opierać się na znacznej ilości ściśle zbadanych i opisanych faktów, by mógł prawidłowo wysnuwać wnioski. Musi więc dążyć do zdobycia możliwie jak najwięcej danych.

Trudniejszą jest odpowiedź na pytanie pierwsze.

Z zadania tego wywiązała się znakomicie cytowana już autorka, p. Szyeówna. O książeczce jej, p. t. „Jak badać umysł dziecka?“ chcę właśnie kilka słów powiedzieć.

Praca ta, napisana na skutek uchwały zapadłej w sekcji psychologicznej IX-go Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, wyszła pierwotnie we Lwowie p. t.: „O zadaniach i metodach psychologii dziecka.“ W roku bieżącym wydawca warszawski, M. Arct, wydał ją pod zmienionym tytułem w swych „Książkach dla wszystkich.“

Niewielka ta broszurka, bo 118 stronice druku, rzeczywicie powinna się znaleźć w rękach „wszystkich,“ komu nie obcą jest troska o dobro publiczne. Streszczać jej nie sposób, natomiast nie dość nigdy słów zachęty do zapoznania się z tą książeczką, której każde słowo przyczynia się do rozjaśnienia naszego horyzontu umysłowego.

Odczytajmy uważnie pracę p. Szyeówny, a bezwarunkowo nabierzemy ochoty do pracy tak pozytywnej, tak godnej najwyższego uznania, jaką jest dostarczanie cegiełek pod gmach wychowania.

Nadmienić jeszcze trzeba, że niska cena książki (20 kopiejek), czyni ją dostępną nawet dla ludzi niezamożnych.

Więc...

Oby tylko nie zabrakło nam tego „wiekuistego wśród dóbr Bożych dobra“— dobrej woli.

Józef Muklanowicz.

Kronika działalności kobiecej.



— Paryż. W Paryżu ukazał się nowy dwutygodnik, poświęcony sprawom kobiecym, z bardzo obiecującym tytułem: „La femme d'aujourd'hui“ („Kobieta dzisiejsza“). Wydawcą jest Feliks Juven. Pierwszy numer nader starannie wydany, zawiera szereg zajmujących artykułów i tak między innymi: artykuł Marceliego Prevosta: „Co czytać powinny młode panienki,“ opowiadania Franciszka de Mênil, pani Emili Pardo-Bazan, „Kobiety z domu Bonapartych,“ przez Fryderyka Lolié, szkice Brady i romans Gypa. Ogólny ton nowego pisma jest bardzo wykwintny, utrzymany przeważnie w nastroju modernistycznym.

— Anglia. Do przeciwgorsetowej ligi w Leeds zapisało się 60 kobiet i tyłuż mężczyzn. Związek w Leeds jest odłamem angielskiego stowarzyszenia „The society of physical Culture“ („Towarzystwo kultury fizycznej“), które w każdym większym mieście w Anglii prowadzi propagandę swej idei. Mężczyźni, należący do związku, postanawiają nie żenić się nigdy z kobietą, noszącą gorset, kobiety zapisujące się do związku, muszą przystać na warunek zupełnego wyrzeczenia się noszenia nie tylko gorsetu, lecz wszelkich pasów, staników, obciskających figurę w stanie. Ubranie spodnie powinno być noszone na szelkach, wierzchnie spływać od ramion.

— W hrabstwie Essex, w kościele katolickim, miejsce organisty otrzymała młoda dziewczynka, która przez dłuższy czas zastępowała chorego ojca ku wielkiemu zadowoleniu wierznych, zachwyconych grą młodzieńczej organistki.

— Brazylia. Pierwszą doktorką medycyny w Brazylii jest dr Ermelinda de Sã, która praktykuje w Rio de Janeiro od roku 1889-go.

— Afganistan. Doktór medycyny, pani Lilian Hamilton, została przed paru laty mianowana przybocznym lekarzem na dworze Afganistanu. Obecnie pani Hamilton wybrała się w podróż do południowej Afryki, aby poznać warunki bytu w tamtych, mało znanych stronach.

Z. S.

Nasz ul.



— P. E. Świecimski, b. prełożony Szkoły technicznej, nabył na własność pismo „Pedagog popularny,“ które pod zmienionym tytułem „Świt,“ zamierza wydawać od dnia 1-go Kwietnia r. b., jako tygodnik ilustrowany dla młodzieży.

— Za przykładem lat poprzednich i stosownie do odpowiedniego regulaminu, urządzoną zostanie w Kwietniu r. b. w salonach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, wystawa konkursowa malarstwa, ornamentyki i reprodukcji graficznych. W dziale malarstwa trzy nagrody: 400, 300 i 100 rubli; w działach ornamentyki malarskiej, plastycznej i reprodukcji graficznych po jednej nagrodzie w kwocie 100 rubli w każdym; nadto za prace z działy graficznej nagroda bezimienna w kwocie 50 rubli. Termin nadsyłania prac upływa w dniu 1-y Kwietnia r. b. Bliższych wiadomości udziela kancelarya Towarzystwa.

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych u-

rzęda w salonach Towarzystwa pośmiertną wystawę dzieł ś. p. Adama Badowskiego, b. profesora klasy rysunkowej w Warszawie i wieloletniego członka komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, na którą złożą się liczne jego prace.

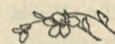
Pragnąc, żeby wystawa ta mogła się przedstawić jak najświetniej, Komitet zwraca się z uprzejmą prośbą do wszystkich posiadaczy prac ś. p. Adama Badowskiego o laskawe udzielenie ich na wystawę, której otwarcie nastąpi dnia 15-go Kwietnia r. b.

W razie przychylenia się do powyższej prośby, Komitet prosi o wysłanie dzieł posiadanych ne termin powyżej wskazany pod adresem Towarzystwa, Królewska, 17A i nadmienienia, że koszta przesyłki w obie strony, oraz ubezpieczenie obrazów ponosi Towarzystwo.

Osoby w Warszawie zamieszkałe, a posiadające prace ś. p. Badowskiego, zechcą laskawie zawiadomić kancelaryę Towarzystwa, kiedy mianowicie możnaby otrzymać takowe przez specjalnie upoważnionego officialistę Towarzystwa.

— W Kwietniu zacznie wychodzić w Krakowie, jako organ Towarzystwa „Zreformowania wychowania i nauczania,“ kwartalnik naukowo-pedagogiczny p. t. „Reforma szkolna.“ Radakęę nowego pisma objął znany literatp. Adam Szymański. Wśród listy współpracowników znajdujemy nazwiska ogólnie znane i głośne na polu nauki i sztuki.

Pszczola.



ODPOWIEDZI.

— P. J. F.—Słowo «łyżwować» jest polskiem, nigdy jednak nie używa się przy nim zaimka zwrotnego «się.» Jedynie w słowach, w których czynność przechodzi na osobę działającą, np.: nudzić się, smucić się, zmęczyć się, radować się, śmiać się i t. p. Słowo «łyżwować» jest czasownikiem, należącym w koniugacji do klasy V-ej; niedokonane, częstotliwe. Używa się często zamiast: ślizgać się.— *Sanzować?* — pewnie *szanżować*, pochodzi z francuzkiego, znaczy dosłownie: *zmieniać się*. W tym wypadku, jeżeli chodzi o połączenie ze słowem »łyżwować,« stosowniejszym byłoby użycie wyrażenia: *mijać się*.

W wątpliwościach podobnych polecić możemy „Poradnik językowy,“ miesięcznik wychodzący w Krakowie (Karmelicka, 12) lub księgarnia E. Wendego i Sp. w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście, 9, oraz bardzo dobrą gramatykę A. Kryńskiego.

Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Nowy-Świat, 41).

Treść numeru:

Gospodarka domowa. III. Wydatek niepotrzebny, przez S.— Pogawędka, przez A. Glisczyńskiego.— Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Rozstanie (wiersz), przez Zygmunta Różyckiego.— Historia kobiety, studjum historyczne, przez J. Terpilowską (ciąg dalszy). — W sprawie kobiecej, przez ks. A. Brykczyńskiego (dokończenie). — Nasz Kwestyonaryusz macierzyński (ciąg dalszy). — Szkice z Japonii, według A. B. de Guerville'a (ciąg dalszy). — Życie (wiersz), przez Adelę Konieczną. — Silvio Pellico, przez T. K. — Niesłowność, przez G. T. — Z Kassy kobiet.— Na półkach księgarskich, przez Józefa Muklanowicza. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczolę.— Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 13-ty powieści „Milość moim grzechem.“ w przekładzie z francuzkiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 29). — Przepisy kuchenne.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55 w WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

PŁÓCIENKA, SATYNY, ZEFIRY, KRETONY, PIKI, BATYSTY,

oraz dreliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne.

Pledy powozowe, koldry flanelowe i inne. Materjały na derki letnie dla koni. Worki, Wańtuchy. Płótno do suszenia chmielu.

Kolorową damską i męską bieliznę.

Gotowe wyprawy od Rb. 100.

Próby—franco.

Paleta nieprzemakalne

otrzymał świeży transport

G. E H L E R T,

Senatorska № 19, 1-e piętro

wprost Daniłowiczowskiej.

Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

Kwiaty do kapeluszy

podług modeli Paryskich; garnitury ślubne, ubieranie żardinier koszów i wazonów.

KIEŁKIEWICZ

Niecała № 10.

Ceny niskie.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

Przegląd Pedagogiczny

Dwutygodnik, poświęcony wychowaniu domowemu i szkolnemu.

Niezbędny zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.

Wychodzi rok 23-ci.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie **rb. 1.50**; z przesyłką poczt. **rb. 1.75**.

Wydawca: **Piotr Laskauer**.— Redaktor: **Maryan Gawalewicz**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41

Amazonki

Jan Zborowski

Kostiumy

KRAWIEC MĘZKI

WARSZAWA, ul. Nowy-Świat № 30

1-sze piętro od frontu (naprzeciw Chmielnej)

Ma zaszczyt zawiadomić J. W. i W. Panie iż otworzył

ODDZIAŁ OKRYĆ DAMSKICH

Płaszczce

pod osobistym kierunkiem

Żakiety

Pismo poranne, codziennie wychodzące, nie wyłączając niedzieli

GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej ogłosza,

co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych czytelników tak w Warszawie, jakoteż i zamieszkałych na prowincyi, odstępujemy od przyjętego zwyczaju liczenia kwartałów: od 1-go stycznia, od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i **przyjmować będziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia miesiąca.**

Prenumerata więc może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocznie w stosunku miesięcznym po **75 kop.** w Warszawie i **1 rubla** na prowincyi.

Nadmieniamy, iż „GAZETA WARSZAWSKA“ opuszcza prasę drukarską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między godziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism popołudniowych) a 5-tą zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pociągami rannymi, z **większych pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.**

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

„HELENY”

Wielka 40 m. 20.

Fasony podług modeli paryskich wykonywa po cenach przystępnych.

Ciechocinek,

Pensjonat „Zachęta“. Kuchnia staranna, table d'hôte, pianino, pisma, gry towarzyskie, tenis, opieka nad potrzebującymi takowej, gymnastyka szwedzka i masaż na miejscu. Zamawiać można do 15-go maja. Warszawa, Moniuszki 9, Kuczalska.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

!! NA ŚWIĘTA !!

Jedynie praktyczne przepisy ciast, wędlin, wódek, konfitur, konserw, soków, marynat, likierów, win owocowych i t. p. przez **Lucynę Ćwierczakiewiczową**, w oprawie Rb. 1.50, z przes. Rb. 1.70.

Też autorki:

365 obiadów, w oprawie 2 Rb.

Kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet 1 Rb.

Poradnik porządku i różnych wiadomości potrzebnych kobiecie 70 kop.

Rachunki domowe praktyczne dla gospodyń i spis bielizny do prania, ułożyła M. F. 45 kop.

Do nabycia w księgarni **Jana Fiszera** w Warszawie, Nowy-Świat 9.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118

poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:
do Sprzedania.

1) **Indory** brązowe, amerykańskie i **indory** czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) **Gąsior** rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego legu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.